№ 3. Warszawa, dnia 6 (18) Stycznia 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

TYDZIEŃ NIEPOKOJÓW I WZRUSZEŃ.

Obrazek z życia powiatowego miasta galicyjskiego

PRZEZ

Teofila Szumskiego.

(Dokończenie).

Dzień szósty, Piątek.

Już od godziny ósméj rano zasiadł pan burmistrz dzisiaj w biórze na ratuszu i wezwać kazał wszystkich dozorców targowych, woźnych i sekretarza i rzekł:

— Wszystkich włóczęgów, którzy siedzą pod kluczem wypuścić lecz pilnować, dać im miotły w ręce, niech zamiatają miasto; nająć ludzi ile będzie tylko można i wyprawić ich także z miotłami; targu dziś nie będzie w rynku, spieszących do miasta, skierować pod miasto na plac koło gaju nad stawem. Woźni, dozorcy i rewizor dopilnują, żeby było czysto, żeby nigdzie ani słomki nie zostało w ulicach i w rynku. Ale, przywieźć kilka fur piasku i przed domem, gdzie urząd powiatowy, wysypać plac i drogę.

Gdy ludzie odeszli, wypełniać odebrane rozkazy, zwrócił się burmistrz do sekretarza.

— Panie Karolu, radź pan, bo mnie już konceptu braknie, jak tu przywieźć z dworca naczelnika powiatu?

— Pańskim powozem.

— Zapewne, powóz niczego jeszcze, ale konie moje stare, jeden kulawy jak na złość a u żydów jeszcze gorsze.

Pan Karol się zamyślił. Burmistrz powtarzał co począć z temi końmi.

— Konie piękne miewa oberżysta z pod sroki, rzekł po namyśle sekretarz.

- Wierzchowe a najczęściéj waryaty... O nieszczęście nie trudno.

— A! już mam! zawołał Karol. Najbliższy sąsiad miasta, pan Jaksycki ma śliczne konie.

Burmistrz poruszył niechętnie ramionami.

— Nie pożyczy, to arystokrata.

— Jednakże nie powinienby odmówić, odrzekł Karol. Jako prezes rady powiatowéj powinien mieć pewne względy dla starosty. Co szkodzi spróbować?

— Ba, ja tam do tego pana nie pojadę, zadumał się burmistrz.

— Poślijmy pana Bolesława, sekretarza rady powiatowéj. On podobno w wielkich łaskach u pana Jaksyckiego.

— To bierzże pan całkowicie ten ciężar na swoje barki. Niech pan Bolesław jedzie ale musi mię jakoś wymówić chorobą, zajęciem i niech prosi w imieniu miasta. Jeżeli pan Jaksycki nie odmówi to możemy mu później urządzić głośne podziękowanie na jednem z najbliższych posiedzeń rady miejskiéj...

— A potém, przerwał z uśmiechem Karol, opisać w korespondencyi, wydrukować w gazetach że pan N. N. był tyle uprzejmy, że nie odmówił i t. d...

Spojrzeli sobie w oczy z uśmiechem.

— Znam tych panów, mruknął Karol.

— Może, ale, szepnął Burmistrz w myśli, niech mówią co chcą, ale zawsze to przyjemnie wyczytać o sobie coś w gazecie.

Pewny był, że go to spotka niebawem.

Sekretarz poszedł załatwiać interes polecony, pan burmistrz wracał do domu. Trzeba było odbyć jeszcze jedną walną naradę z poufalszymi znajomymi, rozesłał więc zaproszenie na skromne śniadanie.

Szło o to, czy za przybyciem starosty w wieczór prosić go zaraz na spóźniony obiad po podróży, czy odłożyć przyjęcie uroczyste do soboty.

Podzielone były zdania. Ale burmistrz zgadzał się z tymi, którzy radzili korzystać ze sposobności i jeżeli starosta nie będzie się bardzo opierał, wieźć go wprost do domu pana burmistrza,

Ponowna ta niepewność była przyczyną świeżego udręczenia dla wszystkich pań. Jeżeli nie przyjmie zaproszenia pan naczelnik, to wszelkie przygotowania na ten wieczór obrócą się w niwecz. Nie byłożby lepiéj, żeby sobie przyjechał w nocy, żeby nazajutrz rano odbyło się urzędowe przyjęcie a w wieczór obywatelskie? Nie, koniecznie musiał przyjeżdżać wieczorem: za późno i za wcześnie.

Tak w duchu narzekały panie w mieście powiatowém i miały czego narzekać.

Wyprawiony w poselstwie do sąsiedniéj wioski sekretarz rady powiatowéj, wyjechał zaraz. Droga trwała bardzo krótko, gdyż wioska Załuże leżała ledwo o ćwierć mili od miasta powiatowego.

We dworze, który nosił ślady wielkiéj niegdyś zamożności, spotykamy tegoż samego, osiwiałego już i hardo patrzącego jegomościa, który w niedzielę opuszczał ostatni kościół i któremu towarzyszyła młoda wysmukła i blada panienka.

Pan Jaksycki przyjął posła bardzo uprzejmie, wysłuchał prośby burmistrza i rzekł:

— Nie zrobiłbym tego dla kogo innego, nie zrobiłbym dla dziesięciu burmistrzów i mieszczuchów całego świata, ale zrobię to dla starosty. Jest nim mój dawny znajomy, choć młody człowiek, pan August N.

Jakoż natychmiast wezwano ekonoma i polecono wysłać do miasta parę najpiękniejszych koni. Niebawem powracał do miasta i sekretarz rady powiatowéj wioząc z odpowiedzią pomyślną jeszcze i ten szczegół, że pan prezes rady powiatowéj Jaksycki znał oddawna nowo mianowanego starostę.

Znajomość ta miała zadać cios wszelkim rachu-

bom i nadziejom matrymonialnym, które sobie czyniły w duchu niektóre rodziny dygnitarzy powiatowych.

Wówczas kiedy pan Jaksycki znał pana Augusta, był on ledwo skromnym kandydatem prawa i podrzędniejszym jeszcze urzędnikiem w namiestnictwie.

Pan August bywał w domu Jaksyckich, tam poznał jego córkę, pannę Hortensyą. Młody człowiek miał wtedy w zanadrzu ledwo wielkie nadzieje i co prawda w sercu wielką miłość dla panny Hortensyi.

Ale wielka miłość, zdolność a choćby i talent, bez wybitnego stanowiska, nie mogły znaleźć względów w domu pana, który jakkolwiek resztkami gonił, nadrabiał wielką dumą. Chciał więc dla córki, jeżeli nie majątku lub stanowiska w mężu, to przynajmniéj człowieka równego urodzeniem a pana Augusta znał jako syna dzierżawcy pochodzenia niepewnego.

Zmieniły się jednak czasy. Pan Jaksycki nie uronił wprawdzie nic z dawnéj swojéj dumy, ale zeszedł na właściciela jednego folwarku a pan August tymczasem został starostą. Mówiono nawet w stolicy prowincyonalnéj, że czeka go karyera, ponieważ poznano się na jego zdolnościach.

Wiedział o tem pan na Załużu i na tydzień przed mianowaniem Augusta naczelnikiem powiatu, powiedział córce, że chętnie odnowi znajomość z tym młodym człowiekiem."

Nastręczała się po temu dobra sposobność. Pan Jaksycki, jako prezes rady powiatowéj musiał koniecznie zostawać w stosunkach z naczelnikiem władzy wykonawczéj. Życzył sobie, ażeby stosunek ten nie został tylko urzędowym.

Dla tego dziś, w piątek, o godzinie piątéj po południu, córka pana Jaksyckiego wyglądała zupełnie inaczéj jak przed tygodniem blizko, gdy ją widziano wychodzącą z kościoła parafialnego w powiatowem mieście Y.

Na pięknéj jéj twarzy nie widać było ani śladu smutków przebytych, które niegdyś wykradały rumieńce; w oczach ani śladu łez ukradkiem przelanych albo stłumionych, czoło jéj ożywiła myśl o przyszłości, serce tchnęło nadzieją

O! gdyby o tem wiedziano w mieście. A jednak domyślano się czegoś. Skoro bowiem powrócił sekretarz rady powiatowéj i niechcący jakoś napomknął, że pan Jaksycki okazał się bardzo ochoczym do przysługi, ponieważ zna od dawna starostę, spojrzeli na siebie pan burmistrz i poborca smutno jakoś, jakby mówili: coś nie dobrego się święci.

Nie było jednak rady, czyniono przygotowania z jednaką gorliwością. Do siódméj w wieczór stanęła niebardzo kształtna, ale okazała brama, obwieszona lampami, przez którą wjechać miał do miasta naczelnik powiatu.

Pan burmistrz kazał dom przygotować jak na bal.

— Na wszelki wypadek, mówił. Jeżeli przyjmie dziś zaproszenie, to i owszem. Jeżeli nie dziś, to jutro; no, to w takim razie zabawimy się dziś sami, a jutro damy uroczystszy wieczór.

W domu burmistrza zatem, oprócz bardzo a bardzo poważnego zastępu pań i panien, zbierali się także ludzie młodsi, przedstawiający tylko siebie. Starsi i reprezentanci władz, spieszyli aż na dworzec drogi żelaznéj za miasto, pan burmistrz czekał z chlebem solą i radnymi u bramy wzniesionéj, i około ósméj już rzęsiście oświetlonéj.

O wpół do dziewiątéj w wieczór dano znać do miasta, że już pan starosta jedzie.

U bramy tryumfalnéj powstał taki ścisk, krzyk i spychanie się, że trzeba było aż użycia powagi samego burmistrza i pomocy kilku żandarmów, ażeby nie dopuścić do obalenia z takim mozołem postawionéj bramy.

Nareszcie!! Ale podobnaż powtórzyć wszystko? Przemawiał burmistrz, kilku radnych, naczelnik ochotniczéj straży ogniowéj, a młody, w istocie młody i bardzo przystojny pan starosta, musiał odpowiadać. A kto już policzy okrzyki na cześć najprzód Najjaśniejszego pana a potem wszystkich po kolei dygnitarzy krajowych a nakoniec powiatowych.

Smutne przeczucie nie omyliło jednak. Pan starosta odmówił dziś przyjęcia udziału na wieczorze, ale przyrzekł swą obecność na jutro.

Smutniejszy jeszcze zdarzył się wypadek. W chwili bowiem, gdy już ruszano w miasto, zaturkotało głośno na drodze, z przeciwnéj strony zajechał powóz uprzężony czwórką, zatrzymał się i wysiadł mężczyzna siwy, poważny. Podszedł z uśmiechem ku młodemu staroście, podał rękę z wielką uprzejmością i w pięć minut pan starosta siedział już w powozie przez czwórkę ciągnionym.

Jak przybył, tak szybko zniknął.

Scenie téj przypatrywali się już tylko niektórzy radni i z gości zwykłych burmistrza, pan kontroler który przyzostał ostatni.

Postał chwilę, pokiwał głową i pośpieszył z tą wieścią Hioba na wieczór do burmistrza.

Poszeptał coś w ucho gospodarzowi, który pomimowoli załamał ręce i zawołał:

— No proszę, a tu się wymawiał zmęczeniem po podróży,

— Tam go widać coś pociąga, wtrącił rachmistrz rad w duszy z zawodu ojców i matek a może i z zawodu swojéj posądzonéj o wiarołomstwo bogdanki.

— Dokąd, dokąd? dopytywał poborca przybiegając.

— Do pana Jaksyckiego! zawołał Karol.

— Panie Bolesławie! panie Bolesławie! rozległo się wołanie.

Szukano tak pilno sekretarza rady powiatowéj.

— Panie Bolesławie! powtórzył burmistrz. Pan zna prezesa rady powiatowéj, czy to żonaty człowiek?

— Wdowiec.

— Bezdzietny?

— Przeciwnie, ma córkę jedynaczkę.

— A! A! widzicie państwo, więc ta blada jejmościanka, to...

— To jego córka, skończył sekretarz.

— Ta arystokratka! dodał kontroller.

— Nieznośna arystokratka, odezwało się już i pań kilka.

— Ta trupia główka? zapiszczała z przekąsem pani aptekarzowa.

— Owszem, bardzo przystojna i miła panna, przerwała bezdzietna żona wice naczelnika powiatu.

Pani Srebrnicka słuchała nie odzywając się. Nie chciała się zdradzić. Ale po chwili zbliżyła się do poborcy i spojrzała w oczy mężowi.

Pan poborca zrozumiał widać to spojrzenie, bo rzekł półgłosem:

— Tak, moja Amelciu, nic podobno z tego nie będzie. Sprzątnięto nam zięcia z przed nosa.

Pani Srebrnicka przyłożyła pulchne paluszki do ust męża i nakazawszy milczenie, poszepnęła:

— Cyt, niech tylko nikt nie ma *szadenfrajde* z tego (uciechy z naszego zmartwienia). Moja Mina dostanie męża.

Nikt w istocie nie poznał po pani Srebrnickiéj, że ją spotkał jaki zawód. Potrafiła uniknąć nawet pozorów wszelkich. Wilchelmina jéj wyglądała dziś w saméj rzeczy bardzo pięknie, ale była tak skromnie ubrana, jakby w chęci niezwrócenia niczyjéj uwagi. Tak myślały sąsiadki, o czem innem była przekonana niemka ubierając tak skromnie na dziś swoje córki.

Oprócz min zwarzonych kilku matron powiatowych i dąsów kilkunastu dygnitarzy, którzy nie mogli przeboleć, że starosta zrobił im takiego „figla" całe zresztą młodsze pokolenie niebardzo podobno czuło stratę urojoną. Przeciwnie przybył nowy żywioł do pogadanek i uwag, już bowiem doszły wieści, jak wygląda starosta. Śmiano się więc i rozprawiano.

A byli i wyjątkowo uszczęśliwieni, i było szczęśliwych pięć par. Pan Seweryn, Karol, Adolf, Henryk i pan Bolesław nakoniec, który zabrawszy znajomość z Jadwigą, pozyskać potrafił i względy pani Srebrnickiéj i pana poborcy.

Pary te obiecywały sobie weseléj jeszcze spędzić dzień, a raczéj wieczór jutrzejszy, który miał być uświetniony obecnością pana starosty.

Nie bezowocnie zatem kończyły się wzruszenia tygodnia.

Dzień siódmy, Sobota.

Kiedy panienki powiatowe zasypiały słodko z marzeniem o przyszłości, kiedy po wczorajszéj zabawie wypoczywały jeszcze kołysząc się współsennem marzeniem o spotkaniu dzisiejszem, znowu przy świetle lamp i w tańcu w salonie burmistrza, pokolenie starsze doznawało jeszcze wstrząśnień, które było echem niepokojów tygodnia całego.

Interesowano się bardzo powrotem starosty który przyjechał dopiero dziś o dziesiątéj rano.

Było to całkiem naturalne, że gościnny gospodarz nie chciał puścić pod noc do miasta gościa, przybywającego z podróży, że mu ofiarował na noc pokój gościnny i dopiero nazajutrz odwiózł do miasta własnym powozem. Może oprócz zwykłéj gościnności były i inne względy, ale że nie wiedziano o istotnych, zmyślono je sobie w powiecie.

Ktoś więc z domyślnych puścił rano pogłoskę, że nowy starosta odziedziczył jakiś wielki spadek po szalenie bogatym kuzynie. Bogaty, młody, ze stanowiskiem, cóż dziwnego, że zubożały „arystokrata" skarbił sobie łaski reprezentanta władzy rządowéj, najwyższego w powiecie.

Sukcesya stała na pierwszém miejscu, na drugiem dopiero domysł, że chce go „złapać dla siebie na zięcia."

Kiedy starosta zajmował się spokojnie czynnościami swego obowiązku w biurach powiatu, wieść powyższa biegła od domu do domu, wyrywając z piersi niewczesne już okrzyki żalu, zdziwienia lub niedowierzania.

Był to jednak dzień stosunkowo najspokojniejszy od początku tygodnia. Pozostawała tylko ciekawość poznania bliżéj nieco nowego dygnitarza. Gotowano się na wieczór do burmistrza.

Wieczór się zbliżył i był źródłem nowych plotek a może i prawdy. Ciekawi mówili, że dowiedzieli się na pewno jako pan prezes rady powiatowéj, Jaksycki, przepraszał nowego starostę, jakoby go wczoraj wieczór sam odprowadzał do gościnnego pokoju i wiele innych rzeczy. Dowiedzieli się o tem od stangreta, który przywiózł starostę z Załuża a wożnica dowiedział się od służby dworskiéj bliższéj pokojów pańskich niż stajni.

Dodać można że wysoki, zgrabny, z pięknym jasnym wąsikiem pan Starosta zrobił dobre wrażenie na wieczorku, że był bardzo uprzejmy, że pani Srebrnicka, chociaż nie łudziła się już nadzieją posiadania zięcia starosty, była wielce zadowolona, ponieważ córki jéj zaszczycał niezwykłą grzecznością, z Wilchelminą tańczył nawet kilka razy. Z Jadwi-

gą nie mógł, bo tę zamówił do każdego tańca pan Bolesław.

Zdaje mi się, choć nie wiem pewnie, że w mieście powiatowem zanosiło się na sześć obrzędów weselnych. Nie wiadomo jednak, dla której z tych par dano najprzód na zapowiedzi. Z hucznym wieczorem w sobotę, kończy się opowiadanie doznanych niepokojów i wzruszeń. Bądź co bądź poczciwości nie można odmówić tym powiatowcom, których lada wieść wprawia w usposobienie gorączkowe.

ŁZY.

Płacze słowik na mogile,
Kołysze go wonny bez,
Czemuż wszędzie ruin tyle,
Czemu tyle źródeł łez?

Tyle wieków ludzkość płacze!
Łzy ocean chłonie stale,
Łzy sieroce, łzy tułacze...
Łzy co z oczu matek spadną
Potokami niosą fale.

Ciężkie krwawe, idą na dno,
I zmieniają się w korale:
Łzy niewinnych, z wód przestworza,
Blaskiem niebios się promienią;
Aż tam w muszlach, na dnie morza
W drogie perły się zamienią,
Łzy skrzywdzonych, niby rosa
We mgle wzbija się w niebiosa,
A gdy zbierze się ich dużo,
Ciągną mściwéj groźby śladem,
Z błyskawicą, wichrem, burzą,
I na ziemię spadną gradem.
Dziejów serca czyż nie znacie,
I łzy po najdroższéj stracie?
Swym ciężarem ona całą,
Wzburzy otchłań śród odmętu,
Aż ją ujrzysz skamieniałą
W czystéj wodzie dyamentu.

Już od dawna ludzkość cała
Łzami ziemię by zalała,
Gdyby do tych wód mnogości,
Nie spłynęła łza radości.
Ciemna chmura kształty zmienia,
Rozjaśnia się, rozpromienia,
W dobroczynny obłok rośnie,
Deszcz i rosę rzuci światu,
Tło zieleni nada wiośnie,
Poi życiem kielich kwiatu.

Łzo radości! Ona słońca,
Ulubionym jest napojem;
A wśród naszych trosk bez końca,
Staje się ożywczym zdrojem.

I. R.

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis).

PRZEZ

Joannę Belejowską.

I.

„Podróż do Konstatynopola, mówi pan de Amicis, znakomity poeta włoski, była od lat młodocianych najmilszém mojém marzeniem; dziesięć lat nosiłem się z tą myślą, przeczytałem ze sto tomów podróży do téj stolicy które bardziéj jeszcze rozpłomieniły moją wyobraźnię, a ileż to długich zimowych wieczorów przesiedziałem zapatrzony w mapę Wschodu i nareszcie zwiedziłem całą niemal Europę aby się pocieszyć, że nie mogę zwiedzić Konstantynopola. Daremnie! nie ziszczone pragnienie trawiło mnie coraz silniéj... Nareszcie przez rok cały zwróciłem ku temu celowi wszystkie możliwe usiłowania; obliczałem koszta, oszczędzałem, odmawiałem sobie wszystkiego, staczałem walki z całą rodziną, aż przecie ceną niezliczonych ofiar doszedłem do celu. Wsiadłszy nareszcie na okręt, przez dziewięć nocy z rzędu oka zmrużyć nie mogłem, rozdrażniony i jakby pijany myślą: „zobaczę Konstantynopol" to też łatwo pojąć jakiego doznałem wrażenia gdy nareszcie dziesiątego dnia wieczorem, kapitan okrętu rzekł przysuwając się do mnie i do mego towarzysza podróży, malarza Junk'a: „Panowie, jutro równo ze świtem, ujrzycie pierwsze minarety Stambułu."

A byliśmy przekonani że oczekiwanie nas nie zawiedzie, gdyż tak najzapaleńsi jak i najzimniejsi podróżnicy jednakowo się wyrażają o Konstantynopolu, nikt jeszcze nie został rozczarowany — i nie jest to bynajmniéj wynikiem wielkich wspomnień ani z góry powziętego przygotowania do uwielbiania. Piękność Carogrodu jest tak potężna i wspaniała: iż widok jego czaruje zarówno poetę jak archeologa, ambasadora i kupca, uczonego i prostaczka, pana i biedaka. Wszyscy jednozgodnie przyznają, że to najrozkoszniejsze miejsce pod słońcem; najznakomitsi podróżnicy i pisarze tracą głowę gdy przyjdzie im opisać jego wszech piękność.

Czas sprzyjał nam bardzo; noc była ciepła i pogodna; morze szemrząc głaskało falami swemi boki okrętu: maszty i liny rysowały się wyraźnie pod niebem iskrzącém gwiazdami; zdawało się że statek nasz stoi nieruchomy. Z przodu okrętu gromadka leżących Turków, palących swoje nargile; z tyłu nagromadziła się zbieranina różnych narodowości. Wiadomość że zbliżamy się do Konstantynopola wywołała niezwykłe ożywienie. Wszystkie twarze były wesołe i zaciekawione. Marynarze cieszyli się że dopływają już do miejsca w którém choćby na godzinę można zapomnieć o kłopotach i troskach życia, a nawet leniwi i zobojętniali muzułmanie widzieli już oczami wyobraźni pojawiające się na horyzoncie fantastyczne zarysy matki świata, owego miasta, które według Koranu „z jednéj strony spogląda na ziemię a z dwóch na morze," Zdawałoby się że parowiec mógłby się obejść bez pary i płynąć szybko popychany siłą gorącéj niecierpliwości i pragnień jakie ożywiały wszystkich będących na jego pokładzie.

Dopiero około północy podróżnicy zaczęli schodzić udając się na spoczynek, ja i przyjaciel mój Junk zeszliśmy ostatni i bardzo niechętnie, tak niemiło nam było zamykać między cztery ciasne ściany radość tak bezmierną, iż zdawało nam się że cały obszar Propontidy pomieścić by jéj w sobie nie zdołał. Całą noc byłem jak w gorączce, brakowało mi oddechu, zdawało mi się że noc ta ciągnie się całe wieki. Jak tylko zadniało ubraliśmy się i zeszli na pomost.

Przebóg! zawołaliśmy; mgła gęsta zasłaniała horyzont.

A więc zapewnie deszcz padać będzie, tak więc stracony dla nas cały urok jaki nam obiecywało podpłynięcie pod Konstantynopol; dawno rojone nadzieje i marzenia jak mgła się rozwieją. Rozpaczliwie załamałem dłonie. Wtém nadszedł kapitan i spojrzawszy na nas zrozumiał o co chodzi.

— Niech to panów nie przeraża, rzekł; przeciwnie błogosławcie tę mgłę dzięki któréj wpłyniecie na Bosfor w jak najkorzystniejszych warunkach. Wierzajcie mi, za dwie godzin najcudowniejsza nastąpi pogoda.

Po nad mgłą roztoczoną nad horyzontem, zajaśniało promienne, złociste słońce; wprost nas szkicował się niewyraźnie mały archipelag dziewięciu wysp Książęcych, starożytne Demonesi, dawniéj miejsce zabaw i ucieczek dworskich, dziś zbierają się tam i zabawiają mieszkańcy Konstantynopola.

Podajemy ukształtowanie stolicy sułtanów.

Podpływając ujrzymy najpierw Bosfor, odnogę morską oddzielającą Azyą od Europy i łączącą morze Marmora z morzem Czarnem. Po prawéj stronie roztaczają się brzegi azyatyckie, po lewéj europejskie, tu starożytna Tracya, tam dawna Anatolia. Zaledwie przepłynąwszy ujście morskiéj odnogi, widzimy na lewo wązką bardzo zatokę tworzącą prawie prosty kąt z Bosforem i wcinającą się przeszło na parę mil w ląd stały europejski, zakreślając linię krzywą podobną do bawołego rogu i ztąd nazwaną *Złotym-Rogiem* czyli rogiem obfitości, ponieważ gdy był jeszcze portem Byzancyum, napływały do niego bogactwa trzech lądów. Miasto rozkłada się na trójkątnym przylądku. W jednym jego, europejskim kącie, oblanym z jednéj strony morzem Marmora z drugiéj Złotym Rogiem, gdzie stało starożytne Bizancyum, wznosi się na siedmiu pagórkach Stambuł, stolica ottomańskiego państwa. W drugim kącie trójkąta, który opływa Złoty-Róg i Bosfor, wznoszą się dzielnice europejskie, Galata i Pera, a na wzgórzach wybrzeża azyatyckiego, miasto Skutari. Tak więc Konstantynopol składa się właściwie z trzech wielkich miast oddzielonych morzem, z których dwa rozłożyły się naprzeciw siebie a trzecie naprzeciw tych obu, i tak blizko siebie są położone że z każdéj widać wyraźnie gmachy dwóch innych. Rozwarty szczyt trójkąta gdzie wznosi się Stambuł, zwrócony ku Złotemu-Rogowi, jest to ów słynny Szczyt Serajowy, zasłaniający do ostatniéj chwili oczom podróżnika przybywającego od morza Marmora, widok dwóch wybrzeży Złotego Rogu, to jest najcelniejszą i najpiękniejszą część Konstantynopola.

Kapitan, swym wzrokiem marynarza pierwszy dostrzegł Stambuł, i zawołał: panowie oto Stambuł wyłaniać się zaczyna.

Wszyscy pochwyciliśmy lunety, pragnąc natężonym wzrokiem rozszerzyć mały otwór rozstępującéj się mgły. Statek szybko mknął przez morskie fale. Najpierw ujrzeliśmy szczyt nadzwyczaj wysokiego minaretu, a po upływie kilku minut zaczęły wyłaniać się obok niego jakieś niepewne zarysy, zamieniające się powoli w długi bardzo szereg domów, Przed nami i na prawo wszystko jeszcze w mgle zatonęło. Po za domami ukazywały się jeden za drugim białe, wysokie minarety, a szczyty ich opromienione słońcem przybierały różowy odcień. W oddali rysowały się stare posępne poszczerbione mury, wzmacniane w pewnych odległościach wielkiemi wieżycami; mury te o które rozbijają się morskie fale, otaczają miasto dokoła. Niezadługo przedstawiła nam się część miasta na parę mil długa, lecz, wyznać muszę, widok ten nie odpowiadał mojemu oczekiwaniu. Byliśmy właśnie w miejscu w którém Lamartine zawołał: „Więc to jest Konstantynopol?... ach! cóż za rozczarowanie!... I ja także pochwyciłem za rękę kapitana, wołając: Kapitanie! więc to jest Konstantynopol!... Wyciągnął rękę przed siebie i odrzekł: „Człowiecze małéj wiary spójrz w tę stronę!

Spojrzałem i mimowolny okrzyk wydarł się z moich piersi. Z wysokości wzgórza, przysłonięty nieco mglistą zasłoną, wyłaniał się cień olbrzymi, wysoki i lekki, gmach kolosalnych rozmiarów wznoszący się pośród czterech wielkich minaretów, wyniosłych i wysmukłych, których srebrzyste szczyty błyszczały pod blaskiem słonecznych promieni.

„Święta Zofia!“ krzyknął jeden z majtków.

„Hagia Sophia!“ zawołała młoda Greczynka.

Teraz już, w około wspaniałéj Bazyliki, przejawiały się wśród mgły inne wielkie kopuły i minarety sterczące bezładnie, jakby olbrzymi las pni bez gałęzi. „Meczet sułtana Achmeda! zawołał kapitan, wskazując ręką, a następnie dodał: Meczet Bajazeta, meczet Solimana, meczet Selima!... ale nikt go już nie słuchał. Mgła rozeszła się prędko i ze wszystkich stron ukazywały się meczety, wieże, masy zieleni, domy piętrzące się jedne nad drugiemi. Im bliżéj podpływaliśmy tém wyraźniéj starożytny gród ukazywał nam olbrzymie swe zarysy, swe fantastyczne ukształtowanie, swe łamane lilie białe, żółte, różowe, świetne i błyszczące, i szczyt Serajowy odbijał teraz wyraźnie swe urocze kształty na szarém tle oddalonéj mgły.

Wtém statek się zatrzymał. Wszyscy zwróciliśmy się do kapitana pytając o przyczynę. Oznajmił że nie można płynąć daléj póki nie opadnie mgła, jakby firanką zasłaniająca wejście do Bosforu. Staliśmy ledwie minutę, poczém statek zaczął posuwać się ostrożnie: dopływaliśmy do wzgórza Starego Seraju. Naprzeciw tego wzgórza statek znów się zatrzymał.

Jest to wielki pagórek pokryty cyprysami, terebintami, olbrzymiemi sosnami i platanami, których gałęzie spuszczając się po za ząbkowate mury cień rzucają aż na morze. A z pośród téj masy zieleni wynurzają się bezładnie tu i owdzie dachy kiosków, małe pawilony z galeryami, srebrzyste kopuły, rozmaite dziwaczne ale powabne budynki z zakratowanemi oknami i drzwiami ozdobionemi arabeskami, a wszystkie białe, zgrabne, małe, napwół ukryte, dozwalające się domyślać labiryntu ogrodów, dziedzińców, korytarzy i tajemniczych schronień, słowem całego miasta ukrytego w lasku oddzielonego od świata, nieco smętnego i pełnego tajemniczości. Nikogo nie było tam widać, żaden odgłos nie dochodził. Wszyscy utkwiliśmy wzrok w to wzgórze uwieńczone wspomnieniami czterech wieków chwały, rozkoszy, miłości, spisków i strumieni krwi; w pałac monarszy, cytadelę i groby monarchów ottomańskich... Nikt nie śmiał przemówić, nikt ani się ruszył, aż nagle zastępca kapitana, zawołał: „Oto widać Skutari.“

Zwróciliśmy oczy na wybrzeże azyatyckie. Skutari, jak wzrokiem zasięgnąć, rozkłada się na szczytach i grzbietach rozległych wzgórz, uśmiechniętych i świeżych jakby miasto które powstało nagle za uderzeniem czarnoksięzkiéj laski. Jakież pióro zdoła opisać taki widok! Słowa jakiemi opisujemy inne choćby najpiękniejsze miasta, nie mogą dać najmniejszego pojęcia o téj bezmiernéj różnorodności barw i widoków, o zadziwiającéj mieszaninie krajobrazów, wesołości i ponurości, cech europejskich, wschodnich, dziwacznych, uroczych, wspaniałych!... Wyobraźcie sobie, miasto, złożone z dziesięciu tysięcy małych willi żółtych i czerwonych, i dziesięciu tysięcy przepysznie zielonych gajów i ogrodów, z pośród których wygląda sto białych jak śnieg meczetów. Gdzie spojrzéć widać gromady domów i kępy olbrzymich cyprysów, szczyty minaretów i kopuł, pokrywających grzbiet góry zasłaniającéj horyzont jakby wielką firanką, olbrzymie miasto roztoczone w olbrzymim ogrodzie, a na uwieńczenie cudownego krajobrazu, zwierciadlane wody Bosforu, w których odbijają się wszystkie te cuda piękności.

Jeszcze wpatrywałem się w Skutari, gdy towarzysz mój Junk, ukazał mi w oddali inne miasto. Zwróciwszy wzrok ku morzu Marmora, na téméże wybrzeżu azyatyckiém, po za Skutari, zobaczyłem długi szereg domów, meczetów i ogrodów, dotąd kryjących się wśród mgły. Za pomocą lunety można było rozróżnić kawiarnie, bazary, domy zbudowane na sposób europejski, schody, mury otaczające ogrody i małe barki rozrzucone wzdłuż wybrzeży. To Kadiky (*miasto sędziów*) wzniesione na ruinach starożytnego Chalcedonu, niegdyś współzawodnika Bizancyum. Chalcedon ten założony był na 785 lat przed Chrystusem przez mieszkańców Megary, których wyrocznia delficka nazwała ślepymi, za to że miasta tego nie założyli na przeciwnym brzegu, gdzie wznosi się Stambuł.

Statek nasz stał dotąd nieruchomy między Skutari i wzgórzem Serajowém; gęsta mgła zasłaniała zupełnie Bosfor po za Skutari oraz, Galatę i Pera. Drżałem z niecierpliwości aby jak najśpiesznićj opadła, nareszcie kapitan zawołał: „Patrzcie panowie!“

Z po za mglistéj zasłony zaczęły najpierw wyłaniać się białawe jakieś masy, potém niepewne kontury czegoś nadzwyczaj wysokiego, odblask szyb oświetlonych słońcem a nakoniec Galata i Pera w pełném świetle: wzgórze miriad małych różnobarwnych domków napiętrzonych jedne nad drugiemi; miasto bardzo wysokie uwieńczone minaretami, kopułami i cyprysami. Na szczycie wznoszą się monumentalne pałace ambasadorów oraz piękna i bardzo wysoka wieża, niegdyś miejsce obserwacyjne wojowniczych Genueńczyków; u stóp wzgórza jest ogromna sułtańska ludwisarnia i arsenał Top-Hane i las okrętów. W miarę rozchodzenia się mgły, miasto zdawało się rozciągać raptownie w stronę Bosforu, i ukazywały się jakby miasteczka napiętrzone po nad sobą, od szczytu góry aż do brzegów morskich; całe rzędy budynków, małych portów, pałaców stojących nad wodą, pawilonów, ogrodów, gai i kiosków — słowem niepojęta mieszanina, przedmiotów, barw, najbujniejszéj roślinności, a wszystko urocze, wdzięczne, rozkoszne, tak że patrzący wydaje bezwiednie szalone okrzyki uwielbienia.

A jednak nie widzieliśmy jeszcze najpiękniejszego krajobrazu, gdyż dotąd staliśmy nieruchomie z téj strony Szczytu Serajowego, który trzeba przepłynąć aby zobaczyć Złoty-Róg, gdzie roztacza się najcudowniejszy widok.

Wtém kapitan zawołał: „Naprzód!“ Statek się poruszył.

O! téj chwili nie byłbym oddał za wszystkie skarby i potęgę wszystkich króli, książąt i możnowładzców. Upływa jedna... druga minuta... przepływamy szczyt Serajowy... ukazuje się niezmierzona przestrzeń i bezmiar przedmiotów i barw... To Konstantynopol, ogromny, wspaniały, przepyszny... Nawet w poetycznych marzeniach nie śniłem o podobnych cudach przyrody.

Przed nami fale Złotego Rogu, rozwijające się jakby szeroka rzeka, a na obu jéj wybrzeżach dwa łańcuchy wzgórz na których rozkładają się dwa rzędy miast zajmujących ośm tysięcy wzgórz, dolin, zatok, pagórków; sto amfiteatrów, pomników i ogrodów, ogrom dwoma rzędami napiętrzonych domów, serajów, meczetów, łaźni, kiosków, z pośrodka których strzela pod niebo tysiące minaretów o błyszczących szczytach, niby wielkie kolumny z kości słoniowéj. Gaje cyprysowe rysują ciemne linie zstępując z wyżyn aż na brzegi morza, opasując wieńcem przedmieścia i porty. Bujna roślinność roztacza się wszędzie, pokrywa wzgórza, wije się wśród dachów i spada na wybrzeże. Na prawo, po za lasem masztów, lin i pawilonów wyłania się Galata; po za nią Pera rysująca w przestrzeni poważne kontury swych europejskich pałaców: na prost ciągnie się most łączący oba brzegi, nieustannie przebiegany przez najróżnorodniejsze tłumy. Na lewo leży Stambuł, rozłożony na rozległych pagórkach, a z każdego z nich wystrzela olbrzymi meczet, z ołowianą kopułą i złotemi obeliskami. Święta-Zofia; meczet Achmeta, o siedmiu minaretach; meczet Solimana z dziesięciu kopułami; meczet sułtanki Walidy, przeglądający się w zwierciedle wód; na czwartém wzgórzu wznosi się meczet Mahometa II, na piątém Selima, na szóstém seraj Tekyra, a po nad tém wszystkiém biała wieża Seraskieratu panująca nad wybrzeżami obu lądów, od Dardanelli do morza Czarnego. Jak określić szczegóły cudownego tego krajobrazu, mającego w sobie coś powietrznego, tajemniczego i wzniosłego zarazem? Pod srebrzysto przezroczystém niebem wszystkie przedmioty uwydatniają się zadziwiająco czysto i dokładnie; w drżących szafirach fal morskich odbijają się błyszczące kopuły i białe minarety; wietrzyk poranny porusza bogatą roślinność; koło meczetów latają stada gołębi; tysiące różnobarwnych i złoconych kaików przesuwa się po wód powierzchni; wietrzyk wiejący od Czarnego morza roznosi upajające wonie z dziesięciu tysięcy ogrodów, a gdy upojeni widokiem tego ziemskiego raju o całym zapominamy świecie i bezwiednie spojrzymy po za siebie, olśniewają nas znowu prześliczne wybrzeża azyatyckie, zamykające panoramę przepysznym krajobrazem Skutari i śnieżystemi szczytami Olimpu.

Nikt nie może nie przyznać że równie zachwycających krajobrazów nigdzie indziéj nie zobaczy — doskonalsza, wspanialsza piękność przeszłaby pojęcie człowieka, Musimy ukorzyć się i wielbić wszechmocność Boga!...

Statek zatrzymał się w pobliżu mostu: w jednéj chwili otoczyła nas niezliczona liczba małych łodzi i gromady posługaczy różnych narodowości, i niebawem rozebrali między siebie nas i nasze pakunki. Czterowiosłowa łódź powiozła mnie i przyjaciela mego Junka na komorę, zkąd przebywszy labirynt wązkich uliczek dostaliśmy się do hotelu Bizantyńskiego.“

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Rzym 15 grudnia.

Podatki od mlewa i szkodliwy jego wpływ na stan zdrowia ludności. Rozboje w Sycylii i Sardynii. Proces Franciszka Amato. Artykuł pana A. Bertololti „O Dziennikarzach, Astrologach i Nekromatach. Chrzest i spuszczenie na morze okrętu *Dandolo*. Włoski przekład książki pana Busch'a „*II. Bismark i jego ludzie!*“

Przed parą miesiącami parlament zniósł nareszcie najpotworniejszy z podatków, podatek od mlewa; będący prawdziwą plagą dla ludności i zarazem błędem ekonomicznym płodnym w najzgubniejsze następstwa. Przyczynił się on bardzo do rozszerzenia wśród ludności szkaradnéj choroby zwanéj *pellagra*, która przez zakażenie krwi dotyka kraj w jego sile wojennéj i produkcyjnéj.

Jeszcze przed zaprowadzeniem podatku od mlewa, zwanego, *del macinato*, Włosi zarówno jak i in-

ne ludy Południa i Wschodu, mieli szczególny pociąg do potraw mącznych, wyradzających wątłe i linfatycznie temperamenta. W północnych i środkowych Włoszech, główne pożywienie ludu stanowi *pollenta* to jest zupa z kukurydzy, w Neapolu, *macaroni* (macaron) w Sycylii figi barbaryjskie, i jak to słusznie twierdzi *Rassegna settisnanale*, żadne dowodzenia lekarskie nie zdołają ich przekonać o zgubnych następstwach podobnego pożywienia, choćby nawet mąka pszenna była po jednéj cenie lub tylko nieco droższa od kukurydzowéj, chłop włoski przekładałby ostatnią.

Rzeczywiście, kukurydza jest dla wyższych Włoch alfą i omegą, dostarcza bowiem strawy i podściołki dla bydła, służy za niezgorszy materyał opałowy i stanowi pożywienie, trzody chlewnéj, ptastwa domowego i... ludzi. Na nieszczęście dla stworzeń dwunożnych nie upierzonych, kukurydza nie jest tak odpowiednią jak dla indorów i innego drobiu, ponieważ w ich żołądkach zanadto zajmuje miejsce. Ale to właśnie co powinnoby od niéj odstręczać, stanowi wielką zaletę w oczach lombardzkiego wieśniaka, który opycha nią swoich parobków, dzieci swoje, żonę i siebie samego, i tym sposobem, jak to mówią, głód oszukuje, a wiadomo jak tenże okrótnie mści się za oszukaństwo. „To przenoszenie ilości nad jakość, do tego stopnia posunięte jest u wieśniaków lombardzkich, iż, jak mówi doktór Lombross, nietylko przekładają „pollente“ od pszenicy, z powodu że jest cięższą, ale wolą nawet zupełnie zepsutą kukurydzę, jakiéj już nawet trzoda chlewna jeść nie chce, od chleba także z kukurydzy zdrowéj i dobrze upieczonego, ale dawanego w mniejszéj ilości.

Toż samo ma miejsce w prowincyach w których uprawiają ryż; chłopi wolą chleb ryżowy choć jak najgorszy, pomieszany z plewami i słomą, który nie tylko nie jest pożywny ale nadto drażni błony śluzowe, lecz mniejsza tam o to, byle małym kosztem się napchać. Właściciele i dzierżawcy, nie starają się oddziaływać dostatecznie na wykorzenienie tych zgubnych przekonań podtrzymywanych wysoką ceną mąki zbożowéj.

W Lombardyi majątki ziemskie przeważnie wypuszczane są w rodzaj dzierżawy, ale właściciel sam sprzedaje zbiory i oddaje dzierżawcy, część mu przypadającą, wyjąwszy kukurydzy, któréj połowę tenże bierze w naturze, a gdy ją spożyje właściciel sprzedaje mu swoją. Że zaś kukurydza nie popłaca na targach, więc interesem jest właściciela pozbyć się jéj na miejscu, i tym sposobem wynika powolne ale nieuniknione zatruwanie ludności, gdyż niezdrowa a niepożywna ta strawa wyradza rozliczne choroby.

Lud tak źle żywiony nie może dostarczać silnych i zdolnych do pracy produkcyjnéj robotników, ani też żołnierzy mogących wytrwać w trudach i niewygodach wojennych, i po większéj części tak złéj to żywności przypisać należy fizyczny i moralny upadek rassy łacińskiéj we Włoszech i w Hiszpanii, a powszechnie zarzucane im lenistwo i ociężałość jest wynikiem tego rozepchanego żołądka, z powodu którego trzy części życia zabiera im trudna praca trawienia, najnieprodukcyjniejsza z wszelkiego rodzaju prac istniejących.

Tak więc ciemnota i nieznajomość najprostszych zasad higieny, są plagą całéj Europy południowéj a szczególniéj Włoch, i ona to nadawać musi całkiem oddzielną barwę socyalizmowi włoskiemu. Jeden z najpoczytniejszych dzienników włoskich *la Perseverance* doskonale określa hydrę socyalizmu. „Jest to, pisze, wytępienie wszelkiego poczucia religijnego. Otóż, w polityce, ziemskim celem wszelkiéj religii, jest utrzymanie karności społecznéj, nauczając bogaczy miłosierdzia i litości, a biednych rezygnacyi i posłuszeństwa. Wszędzie bogacze żyją tylko kredytem udzielanym im przez biednych zgadzających się na to, aby zapłatę swą dopiero w innym odebrali świecie; pozbawić biednych téj nadziei a niezwłocznie zamkną kredyt i domagać się będą likwidacyi społecznéj.“

Otóż objawiają się we Włoszech zastraszające symptomata podobnego domagania się, a wykazany powyżéj stan ludności wiejskiéj, uwydatnia dostatecznie wyłączną cechę socyalizmu włoskiego. Niezaprzeczenie i kwestya robotnicza, nurtująca tak głęboko społeczeństwo angielskie i francuzkie, pojawi się z kolei i we Włoszech, ale dziś jest jeszcze niedojrzałą i poprzedzi ją nieuchronnie blizka już może wybuchu kwestya rolna.

Na poparcie słów moich przytoczę tu jeszcze ustęp z *Rassegna settisnanale* z powodu nowéj zmiany ministeryum. „Przebyliśmy już wszelkie możliwe zmiany ministrów ale do czegóż to doprowadziło? Gdzież owe zapowiadane prawa których celem miały być reformy społeczne: zakłady miłosierne, zbadanie kwestyi rolnéj, emigracyi i pracy dzieci w fabrykach i warsztatach? Nasi mężowie stanu zamknęli się w zbyt ograniczonym i ciasnym kole, i jeżeli z niego nie wyjdą, dojdą do zupełnego odosobnienia się od kraju, którego głosu nie dosłyszą, nie poznają cierpień ani prawdziwych potrzeb. A jednocześnie cierpienia i te potrzeby coraz więcéj nagromadzać się będą, i gdy rozwój i postępy cywilizacyi dozwolą im objawiać się swobodnie, gdy, wzorem dawnych rządów, niepodobna już będzie zagłuszać ich przemocą, skoro miara się przebierze, wtedy nagle wyłonić się może wybuch nieprzewidziany i niespodziewany, w który dziś nikt wierzyć nie chce. Kwestya społeczna zagrażająca dziś najucywilizowańszym krajom i w każdym z nich odmienne przybierająca formy, we Włoszech będzie to nieomylnie kwestya rolna—tylko nader krótko widzący mogą tego nie widzieć. I nie mówcie nam o postępie, wolności, zwiększeniu produkcyi, bo w odpowiedzi poprowadzimy was do wszystkich najbogatszych i najwięcéj ucywilizowanych prowincyi włoskich. Na urodzajnych np. równinach Lombardyi, znajdziecie grunta doskonale uprawione, wzorowo urządzone dreny, bogate plony—ale pracujących około roli wynędzniałych od wszelkich braków, wyniszczonych pracą i chorobami, a iluż kończących w domach dla obłąkanych!...

Drugą plagą Włoch są rozboje których dotąd wytępić się nie udaje. Rozbójnicy tak są rozzuchwaleni bezkarnością, iż wyroki swoje na tych co im w czémś zawinili, wykonywają w jasne dnie na ulicach. Parę tygodni temu, tak zabitą została żona pewnego strażnika więziennego i jakiś nieborak który biegł po lekarkę do chaoréj żony. Należał on do „maffii“ i był podejrzany o porwanie niejakiego Parysis'a, dla ściągnienia okupu. Podejrzywano go także o kilka zabójstw, mimo to został uwolniony dla braku dowodów. Ale zawinił coś względem „sądów maffii“ i padł od kuli kolegów, w których gronie miał piastować jakieś wyższe dostojeństwo.

Skutkiem strachu cała ludność czynnie lub biernie dopomaga zbrodniarzom i dla tego nawet angielskiéj lub franctzkiéj policyi, trudno byłoby skutecznie przeciw nim działać. Może obecnie szczęśliwy zwrot nastąpi, dzięki przykładowi jaki dali dwaj bracia Guiccionne. Przyczynili się oni dzielnie do ujęcia pewnéj liczby rozbójników, którzy uciekli z furgonu więziennego wiozącego ich do sądu, *niekutych*, a eskortujący ich „karabinierzy“ mieli broń *nie nabitą*. Mimo czujności i odwagi braci Guiccione, trzech zbrodniarzy zdołało uciec i dostać się do swoich towarzyszy, poczém niezwłocznie nałożyli na swoich prześladowców wysoką karę pieniężną, któréj oni jednak nie uiścili. Niedawno gdy jeden z braci pracował w swojém polu, dano do niego ognia, ale strzał go nie dosięgnął. Gdyby się znalazło więcéj równie odważnych mieszkańców w Sycylii, nieobawiających się iść za przykładem braci Guiccionne, plaga rozbójnictwa mogłaby wprędce zostać wytępioną, ale ludność zachowuje się co najmniéj neutralnie, a sądy przysięgłych za gorące dla bandytów żywią współczucie.

W każdym razie rozbójnicy sycylijscy mogą jeszcze uchodzić za wzór łagodności i delikatności w porównaniu z ich okrutnymi i dzikimi kolegami w Sardynii. Przed kilku tygodniami, w Bargos, banda złożona ze trzydziestu zbójców. napadła w nocy na dom miejscowego wikaryusza. Na szczęście dom ten otoczony był wysoką i bardzo mocną kratą żelazną, któréj, pomimo największych usiłowań, rozbójnicy nie zdołali wyłamać. Jednocześnie strzelano do nich z wyższych pięter domu; ze wschodem słońca bandyci zniewoleni byli odstąpić od oblężenia, unosząc ciała niektórych.

Podobne wypadki są bardzo pospolite w Sardynii; sąsiedzi pomagają bandytom lub co najwięcéj zachowują się obojętnie. W powyższym wypadku, mer miejscowy tak się ociągał z zawiadomieniem o nim władz kantonalnych, iż bandyci mieli czas oddalić się jak najspokojniéj. Nieszczęściem jednak dla nich, posłaniec tyle względnego mera, trafił na oficera karabinierów, który wbrew wszelkim tradycyom swéj broni. nie zwykł przybywać za późno. Puścił się więc niezwłocznie w pogoń za rozbójnikami, którzy pewni bezkarności, spokojnie sobie wracali do swych siedzib, i pojmał kilku. Cóż z tego, sądy przysięgłych uwolnią ich pewnie, przez współczucie... dla braku dowodów. Ne potrzebuję dodawać iż sędziowie ci, dla tego takie wydają wyroki, że są w porozumieniu z rabusiami.

Już to w ogóle sądownictwo włoskie wzięło sobie widać za zasadę znane włoskie przysłowie, Chi va piano, va sano, e chi va sano va lontano, gdyż wszelkie *nieprotegowane szczególniéj* sprawy, ciągną się nadzwyczaj długo. Oto np. w pierwszych dniach b. m. sąd kryminalny w Rzymie, późno już w nocy wydał wyrok uniewinniający Franciszka Amato, aptekarza, zaaresztowanego „prewencyjnie“ *od lat pięciu* (1873) pod zarzutem otrucia cykutą księdza Grossi.

W całéj téj sprawie przysięgli mieli tylko roztrzygnąć dwie kwestye: i naturalnie jeźli pierwsza wypadłaby przecząco, tem samem druga nie potrzebowałaby być rozsądzoną, a mianowicie:

1. Czy ksiądz Ludwik Grossi umarł skutkiem otrucia?

2. Czy Franciszek Amato winien jest otrucia ks. Grossi?

Otóż po kilku minutowéj naradzie przysięgli powrócili do sali posiedzeń i prezydujący w odpowiedzi na pierwsze pytanie: Czy ks. Grossi umarł skutkiem otrucia? odpowiedział: Nie!

Ten jedno sylabny wyraz uradował niewymownie obrońców obwinionego, którzy dowodzili tego już od czterech dni, a publiczność przyklasnęła głośno. Przyprowadzono obwinionego przed kratki sądu, biedak przez całe pięć lat okazywał wiele stałości charakteru i przytomności umysłu, w końcu jednak zbrakło mu już sił i energii, i szedł pomiędzy dwoma karabinierami chwiejącym krokiem, zataczając się jakby pijany.

Prezydujący odezwał się do niego w te słowa:

— Franciszku Amato! nietylko przysięgli wyda

względem ciebie wyrok uniewinniający, ale nadto orzekli: że zbrodnia o jaką byłeś oskarżony zupełnie nie miała miejsca.

— Dziękuję panom, dziękuję wszystkim, odrzekł biedak osłabionym głosem i został wypuszczony na wolność.

Ale pytam się kto mu wynagrodzi pięć lat więzienia, cierpień i niepokoju, a choćby tylko straty materyalne poniesiene przez tyloletnie zaniedbanie swoich interesów?

Przez lat cztery wnętrzności nieboszczyka włóczono po nie wiem już wielu laboratoryach sądowo-lekarskich, gdzie poddawane były wszelkim możliwym badaniom i sporom. Jedni doktorzy i chemicy twierdzili stanowczo że istnieją ślady otrucia, drudzy równie stanowczo temu zaprzeczali, trzeci nie śmieli zawyrokować stanowczo. Z tego wszystkiego utworzyła sią tak straszna wieża Babel iż gdy w r. z. (1877) sprawa przyszła pod rozsądzenie sądu kryminalnego. prezydujący uznał za stosowne zarządzić jedno jeszcze badanie biegłych, do którego zawezwani zostali nejznakomitsi uczeni. I znowu nowy chaos twierdzeń i zaprzeczeń bez stanowczego jednak rezultatu, i gdyby nie sumienność i prawość obecnego prezesa sądu, biedny oskarżony doczekałby może w więzieniu do dnia sądu ostatecznego.

Byłem obecny na posiedzeniu, patrzyłem na zebrane najpierwsze powagi naukowe, i pomyślałem sobie: że wielki uczynili postęp od czasu dawnych augurów rzymskich, którzy nie mogli patrzéć na siebie bez śmiechu—siedzieli z poważną miną.

(*d .c. n.*)

Przegląd literacki.

(Dokończenie).

Gdy szał wzmożonego materyalizmu przeminie, miłość prawdziwa jednocząc małżeństwa, dając szczęście którego za pieniądz nie kupi, serca przejęte nią połączy z całą ludzkością, wniknie w jéj biedy i troski, i przez usunięcie przesadzonych wymagań zbytku a zadowolenie koniecznych potrzeb tych których zbytek razi, ludzi połączy w jedną kochającą rodzinę. Stanie się to wszystko przez miłość i dobrze zrozumiany własny interes, bo i miłość dlatego dana aby osładzała ciężar życia ludzkiego, więc w interesie własnym pojęcie jéj właściwego znaczenia jest koniecznem.

Autor o takiéj miłości nie ma jeszcze właściwego pojęcia. Nie uległszy jéj widocznie nie może jéj wypatrzéć pomiędzy ludźmi, i burzliwe wybryki czysto materyalnéj natury, bierze za miłość za pierwsze jéj pobłyski. Potępiając je, ośmieszając robi słusznie i sprawiedliwie. Waryatów podobnie rozpoczynających swój żywot jak Alfred, i potém po zawodzie zużywających się w miłostkach i kieliszku. należy koniecznie przyprowadzać do porządku. Aleć to nie pierwsza miłość a Autor chciał jéj dzieje przedstawić, i zamiast porywającego obrazu niewysłowioną pięknością, dał wstrętny, odpychający a nawet w pewnych szczegółach ochydny, niegodny pióra pisarza tak wiele obiecującego. Mamy tu na myśli sceny w Berlinie i we Wrocławiu, w domach których nawet wymienienia nazwy przyzwoitość nie dopuszcza.

Tytuł zatém powieści *Pierwsza miłość*, nie odpowiada treści, a jednak Autor mimowiednie dał jéj obraz z niezmierną prawdą i serdecznością określony. Przedstawia ją brat starszy Alfreda, Henryk, doktór medycyny, człowiek już doświadczony, skończony pesymista, obojętny na wszystko i dla wszystkich, nawet niewiele ceniący własne życie. niegdyś bardzo burzliwe i wyczerpujące, żyjący jakby z musu i wpadający często w letargiczne niemal zamyślanie. Otóż ten Henryk jako doktór, zjeżdża na wieś do państwa Siemionowskich, kochających siebie, gromadkę dziatek, lud wiejski, ludzkość całą słowem do stadła zwanego przez wszystkich szczęśliwém. Zobrazowanie istotnéj ich szczęśliwości niezmiernie wdzięcznie dokonane; kochają się wszyscy jak Bóg przykazał, bawią się, weselą, pracują, poświęcają się dla siebie wzajemnie i przedstawiają jakby raj ścianami dworku ograniczony. Henryk nie zwraca na to uwagi, odbywa konsultacyą, późniéj przypatruje się bliżéj, szczęście drugich dziwi go, drażni i wypłasza z powrotem do domu pomimo obecności córki gospodarstwa, Łucyi, panienki już dorosłéj. Czy ona piękna czy brzydka, nie myśli o tém, nie zważa nawet na nią, bo gdzież taki jak Henryk mógłby się zaprzątać młodém dziewczęciem zajętém sprawami powszedniego życia I tak mijają tygodnie, ciągle trwająca choroba pani Siemionowskiéj, przywołuje go do łoża choréj, jedzie tam raz drugi, piąty i ósmy, ale to go nudzi, gniewa. mimowoli jednak szczęście domowe państwa Siemionowskich porusza go, ogrzewa, spostrzega Łucyą, zwraca na nią uwagę, zbliża się do niéj, rozmawia, poznaje zdrowy rozsądek, piękne uczucia, świeżość myśli i pomału przy coraz częstszych bywaniach... przemienia się w innego człowieka, pojmującego swoje obowiązki, stanowisko, cele życia, i przez kochaną już przez siebie Łucyą w kochającego ludzi którymi przedtém gardził.

Otóż to jest rzeczywista pierwsza prawdziwa miłość, rozwijająca się częściéj w dojrzalszych latach niż w młodzieńczych, w których ocknięte burzliwe namiętności tworzą chaos, jakby pożar targany wichrem grożący całemu światu zniszczeniem. Wprawdzie Autor miłość tę Henryka pragnie gwałtem podciągnąć pod zimny rachunek rozumu, ale jakoś to niezupełnie mu się udaje i patrząc na rozpromienione oblicze Henryka, na jego uszczęśliwienie, mimowoli nabiera się przekonania, że choćby Łucya taką jak jest, była córką karbowego, Henryk z pewnością ukochałby ją i nazwał swoją żoną. Należał on także niegdyś do wartogłowów podobnych Alfredowi. Burzył się, szalał, ale nigdy nie kochał prawdziwie: miłostki brał za miłość, kochanki efemeryczne za ukochane, stroił je w ideały rozgorączkowanéj wyobraźni, nic więc dziwnego że upadał coraz niżéj i byłby wreszcie utonął w błocku namiętności, gdyby znużenie nie przyszło w pomoc i nie zwróciło do upamiętania. Dalsze dzieje Henryka, jego zniechęcenie do życia, do świata i ludzi, jego pesymizm do ostateczności doprowadzony, to proste następstwo rozwierzęcenia się w młodości, a nie wyższości umysłowéj nad tłum zwyczajny, jak to Autor chce wmówić w czytelnika.

Szaleństwa i rozpasanie się to owoc przewagi namiętności. Wyższy umysł może im uledz chwilowo, ale za pierwszym krokiem po fałszywéj drodze cofnie się, bo wyższością swą pozna, że to nie ścieżka godna człowieka. Jedno doświadczenie, jedno potknięcie się przekona takiego że się omylił i wzmoże wolę do ujęcia w kluby namiętności. Słabszy duchem nie dokona tego, braknie mu potrzebnéj siły i zabrnąwszy raz na manowce brnie daléj, wala się, brudzi i albo sam czas dopiero uspakaja go przemieniając w wyznawcę nicości, albo téż nadużycie doprowadziwszy do ostateczności, staje się kołaczącym duchem w rozbitém ciele.

Autor innego jest zdania. Szaleństwa młodości uważa za dowód wyzszości umysłowéj ledwo że nie geniuszu. Myli się najzupełniéj a myli okropnie i szkodliwie, bo usprawiedliwia złe dowodami bardzo ponętnemi. Młodzież wydobywająca się na świat po większéj części brakiem zarozumiałości nie zaleca się, spotkawszy się téż z taką teoryą, chwyci się jéj oburącz i zapragnie burzliwością dać dowód swojéj wyższości. Warto byłoby się nad tém zastanowić. Historya wyższych umysłem i geniuszów czego innego nas uczy. Znajdują się i tam wybryki, zwyczajnie jak u dzieci niewiedzących że ogień parzy, ale raz sparzywszy się próby nie ponawiają bo ich prawdziwa wyższość od tego wstrzymuje. Kto tego hamulca nie znajduje w sobie, parzy się ciągle, wrzeszczy, łaje ale parzy bez przerwy i późniéj opuchnięty, rozraniony nazywa świat głupią nicością z którym rozstanie jak najprędsze ulgę dopiero przynosi. Czyż mało dziś świat takich liczy? Samobójstwa nawet między podlotami w naszym wieku niby wielkiéj oświaty, nie są wcale rzadkością, żeby nie zwracały na siebie bacznéj uwagi moralistów, Wszystkiego musi być przyczyna, zkądze to zboczenie tak straszne pochodzi? Dla czego Henryk podniesiony przez pierwszą prawdziwą miłość dla Łucyi, był przedtém bliski obłędu zakrawającego na rozpacz że żyć musi?

Autor usprawiedliwia to wyższością umysłową, a nam przeciwnie się zdaje, że to wypływ był zarozumienia która żadnéj wyższości nie dowodzi, ani naukowéj ani wrodzonéj wlanéj przez naturę. Henryk lekceważy wszystko i wszystkich, wszystko jest dla niego małe, nizkie, płaskie, niegodne zbliżenia do siebie, a tak patrzéć na świat potrafi tylko rozpasana zarozumiałość. Henryk uległ jéj, dla tego hulał, trawił się, przykuł do nauki bo musiał to zrobić dla chleba, ale byłby się spopielił do szczętu, gdyby nie cudowna potęga prawdziwéj miłości. Ona go uratowała i przekonała jak był dotąd nierozsądnym a raczéj głupim, jeżeli słów w bawełnę nie będziemy obwijać. Gdzież więc ta wyższość owa nauka, którym Autor bije tak czołobitne pokłony, aż do zaprzeczenia niemal natury ludzkiéj w tych którzy się ani wyższością ani nauką nie zalecają.

Według twierdzenia Autora, średnia warstwa społeczna najszczęśliwsza, bo umie coś, ale niewiele, tyle jednak że to co kazano jéj szanować, poważa i zachowuje. Są to jednak dopiero półludzie, warstwy najniższe, bydło, a z mniemaną ową wyższością umysłową i naukową, jak Henryk i Alfred, jedynie całą gębą ludzie. Biedną byłaby, za prawdę, ludzkość, gdyby tacy przewodnictwo nad nią objęli.

Czyżby wyższość umysłowa i nauka, miała rozszalać ludzi i wieść do przepaści? Takby sądzić należało z dowodzeń Autora. Błąd to wielki a wynikający z niewłaściwego pojmowania wyższości umysłowéj i znaczenia nauki.

Wyższość umysłowa to dar Boży, spadający na jednostki bez wyboru stanu do którego należą. Nauka to zbiór wydartych tajemnic naturze i zamarłéj przeszłości. Wyższość umysłowa bez nauki nawet dochodzi do pewnych prawd nieznanych innym, nauka zaś choćby w głowę pchana i pakowana jak w wór mąka, nie stworzy umysłowéj wyższości. Wyższy umysłem i bez nauki wyższość tę na każdym kroku objawi: człowiek bez tego przymiotu stać się może chodzącą encyklopedyą a być... głupcem jak stołowe nogi. Alfabet i przez pismo uzmysłowienie mowy ludzkiéj, któż wynalazł jeżeli nie ludzie, którzy o nauce, według dzisiejszych pojęć, nie mieli najmniejszego wyobrażenia? Pług tak podziwiany w swéj użyteczności, któż pierwszy wyrobił jeżeli nie prostaczek żyjący w czasach, nieznających ani pisma ani książki? A jednak były to wynalazki genialne, pomijając setki innych, nie pojedynczo zapewne dokonane ale zbiorowo, przez

wyższych umysłem w pośród ogólnéj prostoty żyjących. Byli więc tacy zawsze w warstwach najniższych nawet, książki nieznających, są dzisiaj i będą zawsze z różną miarą zdolności umysłowych, jak to się spostrzega na wyższych szczebiach drabiny społecznéj. Nauka, nie ma wątpliwości, że podnosi, uszlachetnia i niejako otwiera oczy na to czego wprzód nie widziały, ale żeby spełniła to zadanie musi koniecznie znaleźć w człowieku coś do podniesienia, do uszlachetnienia i oczy do otworzenia, bo inaczéj wszelkie jéj działanie udaremnione zostanie i choćby kuła nadkuła, nic nie wykuje, skała skałą bydlę bydlęciem pozostanie. Pożytku nikt jéj nie zaprzecza, o wpływie zbawiennym na jednostki, w mniejszym lub większym stopniu, nikt nie wątpi, muszą więc odpowiednie warunki znajdować się w każdym zwanym przez wszystkich człowiekiem.

Tak jest bez zaprzeczenia, a warunkami nic innego być nie może, tylko, zdolność zastanawiania się, pojmowania, wnioskowania, granie różnych namiętności tak dodatnich jak ujemnych a więc uleganie porywom prawdziwéj miłości, natchnieniom poetycznem, szamotaniu się myśli i całéj działalności duchowéj człowieka, którą Autor gwałtem chce widzieć tylko w świecie do którego należy. Gdyby był twórcą życia na ziemi, nie ma wątpliwości, że w prostotę przy młocie lub pługu żyjącą, nie tchnąłby ducha nieśmiertelnego, średnim warstwom pokazałby go zdaleka, a dopiero swoich rówieśników zrobiłby zupełnym jego posiadaczem z wiedzą wszelkich tajemnic, aby brak jéj nie drażnił tych, którym się zdaje że wszystko wiedzą, wszystko umieją i rozstrzygnęli ostatecznie wszystkie zagadki myśl ludzką zaprzątające. Na szczęście, Autor nie był i nie jest twórcą wszechrzeczy, pragnie wprawdzie tego, z tą chętką nawet się nie tai, ale koniec końcem świat musi przyjąć takim jakim jest, nie urządzonym wedle pychy zarozumienia, ale po Bożemu z miłością i rozumem niepojętym, widocznym wszędzie, gdzie tylko człowiek rzuci okiem a myślą sięgnie z rozwagą.

We wszystkich też warstwach społecznych wszędzie są ludzie jedni i ci sami, jedne mają wady i przymioty i jednem ulegają prawom bez najmniejszego wyjątku. Nauka, czyli cywilizacya, złe w nich porywy łagodzi, dobre podnosi, pojęcia rozjaśnia, ale oddziaływa tylko na te co je znajduje gotowe, nowych żadnych nie tworzy. Pragnąc zrozumieć to dokładnie, trzeba koniecznie polor zewnętrzny odróżnić od prawdziwego wykształcenia, który pociągając lustrem ludzi bałamuci. Nieraz głowa najstaranniéj wymuskana i wypachniona, a pomyśli lub palnie taką niedorzeczność ze aż zarumieni słuchacza, gdy przeciwnie z ust największego prostaka w grubéj sukmanie i ciężkiéj pracy żyjącego, dadzą się słyszeć słowa tak rozumne, że nie powstydziłby się ich największy mędrzec zagrzebany w książkach i nauce przez wiek cały swego żywota.

Autor tego wszystkiego nie widzi i wierzy w ludzi upatentowanych niejako na posiadanie godności ludzkiéj. Że się myli, nic dziwnego,, tak bowiem nie zna warstw niższych, że gdy chciał odszkicować rzeźnika małomiasteczkowego, musiał go aż namreślić z własnéj fantazyi na wzór podobnie kłamanych postaci w sztuczkach teatralnych, w których kominiarz musi wszędzie w mowie wepchnąć sadze i komin: młynarz wór i mąkę: golarz brzytwę i mydło a rzeźnik wieprza i nóż którym gardła podrzyna. Niegdyś podobało się to, na przedstawieniach oklaskiwano, ale dziś razi, gniewa swą nienaturalnością do ckliwości posuniętą. Ludzi nie poznaje się ze spojrzenia, choćby bardzo często ponawianego, ale z pożycia z nimi w różnych chwilach złych i dobrych. Autor przekonani jesteśmy że nie zrobi tego, bo gdzieżby chciał się poniżyć tak dalece, niechże więc prostoty owéj tak przez niego pogardzonéj, nie wprowadza do swoich opowiadań, a trzyma się świata Alfredów i Henryków, znanego mu jak najdokładniéj. To szyderstwo z prostego pożytecznego pracownika, jakim jest rzeźnik wprowadzony do opowiadania jako konkurent do Zosi, zmienia się prawie w pastwienie oburzające. Autor drwi z jego miłości, wynurzań i zapałów, ośmiesza jego wyrażanie się, obejście, nawet podarki z kiszek złożone, jakby te były coś podlejszego od darów ludzi zamożniejszych zwykle ukochanym składanych. To pastwienie się szydercze doprowadza do takiego stopnia, że nawet pragnienie rzeźnika przez czytanie i naukę zdobycia serca Zosi, stara się wydrwić i wyśmiać, jakby chętkę małpy zostania uczonym. Było to ze strony rozkochanego rzeźnika wielkie poświęcenie, kto zaś umie się do niego podnieść musi czuć bodziec do tego zniewalający, musi więc umieć kochać całą potęgą swego serca, bo tylko w takim razie zdolnym być może do poświęcenia. Mimo to Autor kładzie to na karb zmysłowego jedynie popędu, i jako następstwo z tak szlachetnego czynu, jakim jest załaknienie nauki, pocz ciwego rzeźnika przemienia w błazna, każe mu się przystrajać w płaszcz hiszpański, w kapelusz z dużem rondem, i iść na cmentarz na spotkanie Zosi, aby obdarzyć ją tyradą wyznania miłosnego na wzór lalek jasełkowych prawiących smalone duby.

Obrazek ten jest tak niesmaczny, niezręczny i nieprawdziwy, że w każdym czytelniku niesmak obudzi. Ze swéj zaś strony możemy zaręczyć Autora, że w całym świecie nietylko pomiędzy rzeźnikami ale pomiędzy największą prostotą, nie znajdzie ani jednego ze zdrowemi zmysłami, któryby podobną rolę chciał przyjąć na siebie dobrowolnie. Fiksat, odegra ją, ale nie człowiek przytomny. Czyżby warstwa z niziny społecznéj złożona była z samych fiksatów? O ile wiem więcéj ich liczy góra społeczna niż dolina, choć liczbą o tak bardzo wiele od niéj mniejsza. O prawdziwém wykształceniu owéj góry, jedynie przez Autora za ludzką uznawanéj, daje to bardzo złe wyobrażenie.

O książeczce pana F. Jeske Choińskiego, rozpisaliśmy się może za obszernie, ale był tego ważny powód. Pan Choiński nie ułożył arcydzieła ani doskonałości, ale w pracy swéj okazał talent wiele obiecujący godny słów prawdy których mu nieszczędziliśmy. Przeczytane może rozbudzą rozwagę, z górnych wyżyn pewności ściągną do swer cokolwiek powściągliwszych co stałoby się dla niego z wielkim pożytkiem. Pewność przesadzona zwykle zabija największe talenta, a żalby nam było wielki, gdyby pan Choiński powiększył grono tych żywych nieboszczyków, jakich niemało narachować można.

J. K. Gregorowicz.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH *).

Zanim przystąpimy do opisu strojów zimowych, uprzedzamy naprzód Czytelniczki nasze, że moda nie przedstawia w téj chwili, wybitnego charakteru; żadna nowość nie zjawiła się dotąd. Gust modniarek wysilił się na pomysły, z powodu wystawy paryzkiéj; stroje dzisiejsze są mniéj więcéj wiernem powtórzeniem tego, cośmy widzieli na wystawie.

Kolory najmodniejsze, nikłe są w ogólności i niewydatne dla oka, na balowe suknie przyjęty blado różowy, blado błękitny i paliowy. Na suknie wizytowe używany kolor jasno brązowy w dzikiém odcieniu, podobny do futra wydry, i ztąd nazwany *loutre*. Noszą tu bardzo kolor śliwkowy, i ciemnoszafirowy, wpadający w zielonkowaty odcień, zwany *bleu gendarme*. Na ulicy przeważa nad innemi kolor czarny.

Przy rozpoczętym karnawale wypada powiedzieć coś o sukniach balowych, ale te suknie tak dziwnie dziś skomplikowane, że trudno opisać je w dokładny sposób. Z pomiędzy wielu jakie nam się widzieć zdarzyło, zwróciła szczególniéj uwagę naszą suknia blado błękitna, złożona z dwoistéj materyi: gładkiego atłasu i brokatelli w wielki deseń, w dwóch błękitnych odcieniach. Pierwsza spódniczka atłasowa, miała szeroki wolant układany w zaprasowane kontrafałdy. Środkiem wolantu naszyty był rząd zębów z brokatelli, zakończony w górze atłasowym rulonem. Na to szła druga spódniczka także atłasowa, przód jéj cały w poprzeczne zakłady, tworzył u dołu dwa wielkie festony, ogarnirowane białą blądyną, Nad tą blądyną, ciągnęła się gerlandka z drobnych bardzo bladych różyczek, z zielonemi listkami; otaczała oba festony i przechodziła w górę przez cały środek spódnicy.

Stanik bardzo długi, z gładkiego atłasu, zachodził zupełnie na biodra. Z przodu wpuszczony był *plastron* z brokatelli, ogarnirowany blądyną, odwróconą w górze do ramion. Środek pleców także z brokatelli; spadała od niego długa powłoka, pokrywająca suknię w tyle, przytwierdzona do boków. Ta powłoka z ciężkiéj materyi, bez żadnego podpięcia ani garnirunku, bardzo wspaniale wyglądała. Całą jéj ozdobą, koroneczka od podszytéj spodem falbany, czyli tak zwanéj *balayeuse* bez któréj strojna suknia obejść się dziś nie może.

Bardzo nam się podobała, suknia dla młodéj panienki z białego klarownego muszlinu. Pierwsza spódniczka miała u dołu wolant, szeroki na pół łokcia, układany w kontrafałdy, w odstępach: po trzy fałdy szły koło siebie, daléj zostawiony był odstęp, na pięć albo sześć cali. Na te kontrafałdy spadały prawie do połowy, po dwa pukle z wstążki blado różowéj. Druga wierzchnia spódniczka, składała się cała z wązkich brytów, marszczonych w poprzek, i tworzących wodę. Między jedną a drugą wodą szły wązkie pasy z muszlinu, układane w trzy podłużne, zaprasowane kontrafałdy. Powyżéj kolan, te fałdy spięte były na kokardy różowe z dosyć długiemi końcami. Dół wierzchniéj spódniczki, kończył się wązką falbanką spadającą na pukle od wolantu. Tylne bryty podpięte kokardami, tworzyły powłokę, z wązką falbanką u dołu. Stanik do tego długi, francuzki, otwarty z przodu, zachodził dosyć wysoko na ramiona: przody brzegiem zaprasowane były w fałdy. Z pod spodu wyglądała niby kamizelka, złożona z wody poprzecznie przemarszczonéj. Różowy pasek, spięty na złotą klamerkę, obciskał stanik w pasie. Rękawki krótkie, zakończone wąziuchną falbanką, przybrane były kokardkami.

W kostiumach wielka rozmaitość. Wpadł nam szczególniéj w oko bardzo ładny wizytowy, złożony z kaszmiru Indyjskiego w kolorze śliwkowym i z takiejże gładkiéj materyi: Pierwsza spódniczka jedwabna, miała dwie falbanki, układane w kontrafałdy, przytwierdzone w górze plisą kaszmirową,

*) Korespondencye podobne co miesiąc pomieszczać będziemy w Tygodniku, od osoby stale zamieszkałéj w Paryżu. (*Redakcya*).

z pod któréj wychodziła jedwabna główka. Na to szła druga spódniczka z kaszmiru przybrana u dołu plisą jedwabną, podpięta z tyłu fantastycznie. Przód spuszczał się na rząd guzików szmuklerskich, przyszytych do listewki kaszmirowéj, zakończonéj u dołu w ząb szpiczasty. Z przodu spódnicy po za listewką, szła woda jedwabna, szeroka na ćwierć łokcia, przytwierdzona z boku plisą kaszmirową. Stanik do tego długi, francuzki, tworzył obcisły kaftanik, otwarty na przodzie z wyłożoną klapką jedwabną. Z pod spodu wyglądała kamizelka, spięta na rząd guzików, przybrana z obu stron wodą jedwabną, odpowiednio do wierzchniéj spódniczki. Rękawy kaszmirowe z takimże mankietem, miały u ręki plisowaną falbankę jedwabną.

Kapelusz śliwkowy, z wielkiém piórém, dopełniał pięknie całego ubrania.

Wiele kostiumów tak czarnych jak i ciemnych wełnianych, zdobią dziś aksamitem w drobne paski. Kostium taki składa się zwykle z dwóch spódniczek. Pierwsza kończy się u dołu dwoma wolancikami; druga ozdobiona plisą aksamitną.

Kaftanik do tego obcisły, otwarty z przodu; schodzi się tylko w pasie i spina na jeden lub dwa guziki. Pod spód idzie długa aksamitna kamizelka spięta na rząd stalowych guzików, zarówno jak przód u spódnicy. Kaftanik przybrany plisą aksamitną.

Widzimy także całe kaftaniczki do stanu, z aksamitu czarnego w wązkie paski, ozdobione stalowemi albo złotemi guzikami. Noszą je na spódniczce jedwabnéj lub wełnianéj.

Ważny przedmiot ubrania, stanowią dziś kołnierze i krawaty z białego indyjskiego muszlinu, przedłużone do pasa. Nadzwyczajna w nich rozmaitość. Jedne składają się z plis muszlinowych otaczających szyję i przeciągniętych na stanik; brzegiem idzie koronka bretońska, drobno rurkowana; przód zdobi kokarda z muszlinu, poprzecinana takąż koronką. Do większego ubrania, dodają jeszcze bukiecik z drobnych kwiatów, najczęściéj z pączków róży mieszanych z bratkami, konwalią i t. p.

Powszechnie téż używane fryzki z koronki bretońskiéj, suto ugarnirowane, czasami przeciągnięte przez stanik aż do pasa, przybrane u szyi, pękiem pukielków, z wązkiéj na cal wstążki atłasowéj, w blado różowym lub blado błękitnym kolorze. Noszą téż bardzo, podobne pukielki z wstążki białéj atłasowéj. Mankietki do tego odpowiednie—zakończone u spodu pękiem takichże pukielków.

Jako nowość wpadły nam w oczy, kołnierzyki proste, z odwiniętemi rożkami: robią je z materyi błękitnéj, różowéj, lub paliowéj, powleczonéj tulem w deseń: brzegiem idzie wązka koroneczka lub lekka pasmanterya w odpowiednim kolorze; u szyi plisowana fryzka, z tarlatanu lub *crépe lisse.* Konieczne dopełnienie stanowi kokarda z wstążki atłasowéj pomieszana z koronką.

Upowszechniły się bardzo kokardy układane z fularowych chusteczek indyjskich, z czterema wypuszczonemi rożkami, w delikatnych kolorach. Zastępują niemi krawat, do prostych płóciennych kołnierzyków, haftowanych po rogach.

W ubraniu głowy, ta zachodzi tylko różnica, że fryzury nie tak dziś upiętrzone, jak przed rokiem i dwoma laty. Włosy przycięte prosto, lub utrefione w loczki, przysłaniają zazwyczaj czoło: na tył głowy spadają długie loki. Warkocz podniesiony wysoko; zastępują go często grube pukle z włosów, zwane *marteaux,* ułożone fantastycznie na środku głowy.

Wielkie kokardy alzackie, zarzucone chwilowo, odzyskały znów dawną wziętość; noszą je powszechnie do mniejszego ubrania. Używają na to sztywnéj wstążki morowéj, lub aksamitnéj, z atłasowym spodem. Kokarda składa się z czterech pukli i dwóch końców spadających na warkocz. Najwięcéj widać czarnych, noszą je także w kolorze śliwkowym lub szafirowym, odpowiednio do koloru sukni.

Uważaliśmy także ładne dyademy z lawy czarnéj, przypominające czółka krakowskie, związane w tyle głowy, kokardką z długiemi końcami.

Do ubrania głowy na wieczór, ukazały się wieńce z wstążek w kolorach jasnych: Nad czołem idzie odwrócona kokarda ze wstążki szerokiéj na cztery cale; od téj kokardy ciągną się po obu stronach pukle mocno przypłaszczone do głowy, przytwierdzone na drucie; łączą się pod warkoczem końcami dosyć długo spadającemi.

Kapelusze zimowe odznaczają się wielką prostotą na ulicy najwięcéj widać czarnych kastorowych, przybranych strósiemi piórami, pod rondem, mocno przylegającym do głowy, nie ma zazwyczaj żadnego garniruńku, szarfy aksamitne służą do wiązania pod brodą. Takaż kokarda, przepięta złotym sztyletem, szpadką, lub prostą klamrą, umieszczoną powyżéj ronda, stonowi całą ozdobę.

Wiele kastorowych lub aksamitnych czarnych kapeluszy; ubierają aksamitem w kolorze ciemno *caroubier*, czyli morderowym, w jaśniejszych lub ciemniejszych odcieniach. Pęczek piór strusich, czarnych i morderowych, dopełnia zazwyczaj ubrania.

Strojne kapelusze wizytowe, ubierają białemi piórami, najwięcéj widać czarnych aksamitnych, związanych na aksamitne lub atłasowe szarfy.

Twarda zima, jaką mamy w tym roku, upowszechniła użycie okrywek futrzanych. Najwięcéj daje się widzieć rotond czyli burnusów, długich prawie do ziemi, podbitych popielicami lub bielistkami. Robią je zarówno z materyi, jak z czarnego kaszmiru; okładają w koło skonksami, lub czarnym futrem.

Przyjęte również na ulicę, długie paletoty z tkaniny *matlassé* w kolorze czarnym, obszywane skonksami. Takaż mufka maleńkich rozmiarów, i odpowiednie *boa,* dopełnia ubrania zimowego.

Młode osoby noszą paletociki w kolorze piaskowym, spięte na drewniane guziki, niekiedy obłożone ciemném futerkiem — albo pluszem stosownego koloru.

Chusteczki z grubéj siatki sznelowéj, objęte takąż frendzlą, bardzo się upowszechniły. Są to pojedyncze rogówki — zastosowane krojem do figury.

D.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie wieczorowe dla młodéj Panienki. Suknia niebieska batystowa ozdobiona wszywką i koronką wywodzoną na tiulu. Naszycie przybrania odznacza kamizelkę na staniku; tunika ma znacznie krótszy bryt przedni ułożony w kontrafałdy, przeszyte w odstępie od dołu wszywką, otaczającą tunikę na około a późniéj wszywki puszczone wolno. Dół sukni zdobi falbana ułożona w kontrafałdy.

Ubranie wieczorowe z białego kaszmiru. Garnirunek sukni stanowią dwie plisowane falbanki, z których wyższa przytwierdzona jest siepaną riuszą i przepinana puklami z różowéj materyi. Tunikowe upięcie na sukni składa się z szerokich, zachodzących na siebie skośnych plis, różowych i białych naprzemian i zakończone jest riuszą. Stanik kirasowy przybrany przy kwadratowym wykroju wązkiemi pliskami białemi i różowemi i sutą riuszą z białéj koronki,

Ubranie balowe z żółtego atłasu i blado żółtego tarlatanu przerabianego złotem. Tarlatan przemarszczany w bufy pokrywa bryt przedni, stanowi sutą riuszę naokoło upięcia tylnego bryta i szeroką falbanę u dołu sukni na którą składa się we dwoje. Długa frakowa baskina stanika z tyłu zakończona kokardą, z przodu stanowi bawet. Koronka biała i gałązki bławatków ze złotemi liśćmi dopełniają przystrojenia toalety balowéj odpowiedniéj dla mężatki.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI

Pa. M. R. Wierszyki *Dwie róże*, zgrabnie ułożone, jest w nich i myśl i czucie, ale jakiejże to trzeba zręczności, żeby w dwunastu wierszach zamknąć to czego poezya gwałtem wymaga. Drugie dwa wierszyki pomieścimy w Przyjacielu.

Pani R. R. w Petersburgu. Tygodnik Mód oraz Przyjaciel Dzieci zaprenumerowane zostały. Nowéj prenumeratorce Przyjaciel przesyła pozdrowienie. Rubla biednym oddano.

Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 2.

(Cier-pie-nie).

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 2 Января 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 3, r. 1879.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego.

(Ciąg dalszy).

— Może także zabroniono ci mówić ze mną jeźli się spotkamy przypadkiem?

— Nie, Wilfrydzie, jeszcze do tego nie przyszło. Powiedz mi jak sobie radzicie? jak się miewa Edyta?

— Nie żyjemy, ale wegetujemy zaledwie... wszystko idzie coraz gorzéj. Edyta coraz słabsza, i w takim stanie rzeczy nie może odzyskać zdrowia. Jeźli jest sprawiedliwośc w niebie.....

— Ach! nie kończ, Wilfridzie, to nie przyniesie ci szczęścia.

— Ale też i nic już gorszego mnie nie spotka.... Niezadługo zapewne zabronią ci mówić ze mną.

— Czyż nie byłoby w tém trochę twojéj winy, Wilfridzie?

— A zapewne! jam winien wszystkiemu a oni mają zupełną słuszność... wyznaję iż nie spodziewałem się abyś i ty była przeciwko mnie a ich broniła.

— Niesłuszne czynisz mi wyrzuty, Wilfridzie: wiesz iż cię kocham więcéj niż kogo bądź na świecie... więcéj nawet niż ojca, choć czuję że to źle i że nie powinnam przyznawać się do tego.

— Tegoby też jeszcze brakowało, żebyś ojca kochała więcéj odemnie!... zawołał popędliwie Wilfrid; czyż on postępowaniem swojem zasłużył kiedykolwiek na nasze przywiązanie? Zajęty wyłącznie swoją lady i jéj dziećmi, nam obojgu nietylko przywiązania ale nawet szczeréj przychylności nie okazywał nigdy...

— Zmieńmy lepiéj przedmiot rozmowy, rzekła łagodnie Marya.

Za całą odpowiedź Wilfrid zrobił minę daleko pogardliwszą jeszcze niż wyrzeczone pierwéj słowa.

— Powiedziałeś przed chwilą że może niezadługo zabronią mi rozmawiać z tobą; a ja odrzekłam że może ty winien będziesz jeźli do tego przyjdzie, mówiła Marya z rozpaczliwym wysiłkiem, zbierając się na odwagę aby wypowiedziéć te słowa,—jakież to wieści głoszą teraz o tobie?

— Co znów za wieści?

— Że postępujesz bardzo nagannie, że polujesz i łowisz ryby bez pozwolenia, i to do współki z ludźmi znanymi z najgorszéj strony. Mówią jeszcze... tu zatrzymała się drżąc cała, a potém dokończyła prędko: mówią o napaści na strażnika leśnego lorda Dane.

— O! nie jest to żadna tajemnica, na dziesięć mil w około o niczém innem nie mówią, odrzekł obojętnie Wilfrid.

— Ale mówią... utrzymują niektórzy.... żeś ty do tego należał.

— Czy tak? ach! czegóż to już nie składają na mnie!... I któż to mówi?

— Nie wiem.

— Ale któż tobie powiedział?

— Nie wiem już kto mówił o tém u nas .. zdaje mi się że Tiffle. Lady Adelajda nadmieniła mi o tém, i tak mnie to przeraziło, że nie śmiałam żadnych zadać jéj pytań — a może i nie odpowiedziałaby mi gdybym ją pytała o szczegóły. Och! Wilfridzie, przyjdź do Hallu i jeźli możesz zaprzecz téj potwornéj wieści, upewnij ojca aby mógł zadać kłam tym pogłoskom.

— Jeźli mogę!.. co przez to rozumiesz, Maryo? Czyżbyś przypuszczała że zaczajam się w nocy w lesie aby zabijać strażników?...

— Więc chodź i powtórz to zaprzeczenie w Hallu.

— Za nic w świecie!... wszak wstęp do domu ojca został mi wzbroniony... Ale uspokój się, Maryo, i pozwól lady Adelajdzie i jéj zausznicy Tiffle mówić co im się podoba... ja już wszystko znieść mogę!

— Mówią o zasadzkach i sidłach do chwytania zwierzyny masami, aby ją następnie sprzedawać.

— A! rozumiem, zrobili ze mnie skończonego złodzieja zwierzyny; niech i tak będzie; pozwól ojcu i macosze cieszyć się tym skandalem, a jeźli mnie kiedy skażą na deportacyę lub nawet powieszą, będą przynajmniéj mogli radować się tą myślą, że im to los mój zawdzięczam... Po chwili milczenia dodał: Więc z czegóż ojciec każe mi żyć, skoro mi nie daje nawet na kawałek suchego chleba? Nie mówiąc już o Edycie — bo Małgorzata daje na jéj utrzymanie— ależ gdybym się nawet nie był żenił, toć przecie musiałby był wyznaczyć choćby najmniéjszy fundusz, choćby jakie kilkadziesiąt funtów na moje utrzymanie, a więc nie żądam więcéj, niechże mi daje choć tyle... Ale, słowo ci daję, iż jestem przekonany, że oboje, a szczególniéj lady Adelajda, pragnie tego koniecznie abym zeszedł na złą drogę.

— Wszak i teraz spotykam cię w lesie z dubeltówką.

— No i cóż... przecież nie mogę jéj użyć podczas takiéj burzy.

— Ale już sam fakt że ją nosisz świadczyłby przeciw tobie, skoro nie masz pozwolenia polowania.

— Przeciwnie, mam pozwolenie.

Marya sądziła że brat mija się z prawdą, i pomieszana smutnie zwiesiła głowę.

— Nabyłem pozwolenie, na które dostałem pieniędzy od Małgorzaty.

Marya miała odpowiedziéć—w tém nagle odskoczyła przerażona.

— Co tam jest? wyszeptała wskazując na poblizkie drzewa.

— Nie słyszę nic prócz szumu wichru.

— I ja nic nie słyszałam tylko zobaczyłam dwoje oczu wpatrujących się w nas; zdaje mi się że widziałam potém jakby uciekające dziecko.

Wilfrid pobiegł na wskazane miejsce i rozsunął gałęzie, ale nie było nikogo.

— Zdawało ci się, chyba, Maryo.

Wkrótce wyszli z lasu; nieco daléj, przy odkrytéj drodze, stał kotaż miss Bordillion, a na lewo, szła wązka ścieżka prowadząca do szaletu w którym mieszkał Wilfrid. Kotaż i szalet stały w pobliżu ale zakręt drogi nie dozwala widziéć szaletu z miejsca w którém Wilfrid i Marya żegnali się z sobą.

Właśnie mieli się rozejść, gdy jakiś szczególniejszy dzieciak przebiegł pędem tuż koło nich. Biegł zadziwiająco śpiesznie, wyprawiając jakby konwulsyjne ruchy; twarz jego wybladła miała w sobie coś starego, jak to się spotyka niekiedy u dzieci ułomnych, przebiegłych i chytrych. Nie był jednak garbaty, ale karłowaty. Miał lat blizko piętnaście, wyglądał jednak zaledwie na dziesięć.

— Héj Shad, gdzież tak lecisz? zawołał Wilfrid.

Chłopak się zatrzymał. Na chrzcie dano mu nie powabne imię Shadrach, ale powszechnie nazywano go Shad; nikt nie wiedział iak się nazywa, nikt nie znał nikogo z jego rodziny jeźli miał jaką. Przed trzynastu czy czternastu laty, ujrzano w chałupie staréj Goody Bean dzieciaka, który zdawało się wyrosł tam w nocy, jak grzyb po deszczu. Zkąd się wziął? na to pytanie stara Goody odpowiadała: że był wnukiem jéj po córce od wielu lat nieobecnéj w Danesheld, ale nie uważano nigdy Goody Bean za osobę prawdomówną, więc też i co do tego nikt nie uwierzył jéj zapewnieniu.

„Wracam do domu, panie. Uzbierałem trochę drzewa dla babki.

Wypowiedział to głosem pełnym szczerości, ale patrząc na twarz jego wyrażającą wielką przebiegłość, pomimowoli nasuwało się pytanie czy ta szczerość nie była udaną. Trudno było roztrzygnąć od razu czy Shad był najprostoduszniejszym i najniewinniejszym w świecie chłopcem, lub też najchytrzejszym na ziemi urwisem.

„Czy po to chodziłeś do lasu? zapytała miss Lester, wskazując kilka kawałków chrustu które Shad trzymał w ręku.

— Byłem tylko tuż za płotem. Nie lubię zapuszczać się w las, kiedy wicher tak wstrząsa drzewami.

— Więc nie byłeś w lesie? pytała znów Marya patrząc mu w oczy.

— Byłem wczoraj.

— A dziś! przed chwilą?

— Nie, odpowiedział, wstrząsając przy tém głową. Babka kazała mi abym poszedł do lasu i nazbierał jéj dużą wiązkę gałęzi, ale wiatr tak strasznie tam szumi że bałem się wejść, pewno mnie babka wybije, za nieposłuszeństwo.

Powiedziawszy to pobiegł daléj. Miss Lester rzekła do brata:

— Wilfridzie, to on nas szpiegował.

— To bardzo prawdopodobne:jest bezczelniejszym kłamcą jak jego babka, a to rzecz nie tak łatwa jak... No! cóż się téj znów stało?

Wilfrid spostrzegł swoją służącą biegnącą przez drogę o ile jéj sił starczyło. Jak tylko spostrzegła pana zwolniła trochę kroku, i zaczęła wołać na niego przerażonym głosem.

— Satly, co się stało? Czy dom się pali?

— Nie, panie, dom się nie pali, odpowiedziała opryskliwie; ale pani zemdlała, i przybiegłam do pana, bo jéj nie mogę docucić... leży jak martwa!

Wilfrid puścił się do domu jak strzała, lecz po tém zatrzymał się nagle, zawrócił równie szybko do siostry i zawołał:

— Pójdź ze mną Maryo, choćby przez ludzkość tylko. Chociaż wejdziesz do mego domu i powiesz słówko pociechy Edycie—umierającéj może teraz w braku potrzebnych jéj wygód i starań państwu Lester nic się przez to nie stanie złego... Wybieraj między mną i niemi...

W głosie jego dźwięczała gorzka ironia, jednak Marya nie zwróciła na to uwagi, a idąc za głosem serca pośpieszyła za Wilfridem. Kotaż Wilfrida znajdował się zaledwie o kilka kroków, był to nędzny, prawie ubogi domek pod lasem. Na dole tylko kuchnia z oknami wychodzącemi na drogę, a za nią salonik z widokiem na las. W tym właśnie saloniku Satly zostawiła wychodząc zemdloną Edytę.

Szczęściem wkrótce po przybyciu męża i siostry wróciła do przytomności. Biedna kobieta po ciężkiéj chorobie jaką przeszła niedawno, mdlała bardzo często, ale teraz zemdlenie trwało tak długo, że Satly przelękła się bardzo.

Marya któréj pan Lester zakazał bywać u brata, dawno już nie widziała Edyty. Przerażona jéj bladością i wychudnięciem, nie mogła opanować wzruszenia, i z płaczem rzuciła się na szyję bratowéj, która zdziwiona jéj obecnością w kotażu, i nie mniéj silnie wzruszona jéj widokiem, zalała się także łzami. Wilfrid obawiając się aby zbyt silne wstrząśnienie nie zaszkodziło Edycie, szepnął coś siostrze do ucha; Marya zrozumiała go, i po kilku życzliwych, ale już spokojnie wyrzeczonych słowach pożegnania, wyszła z pokoju.

„Sally! zawołała wchodząc do kuchni, co mogło doprowadzić nieszczęśliwą twoją panią, do takiego stanu? Jest tak strasznie zmieniona, wychudła...

— Głód... tak miss, głód!... odpowiedziała Sally, swym zwykłym opryskliwym tonem.

— Głód! powtórzyła Marya, patrząc na nią z wyrazem zdumienia połączonego z przerażeniem. Głód! Więc do tego już doszło?

— Tak, i to od pewnego już czasu, zwłaszcza co się tycze pani; tak pan jak ja możemy poprzestać na grubych pokarmach: na chlebie z serem lub kawałkiem słoniny, na kartoflach i pieczonéj cebuli, jak w Irlandyi, lub niekiedy na kawałku mięsa; po tém wszystkiém napijemy się świeżéj wody i to nam wystarcza, a zdrowiu nie szkodzi. Ale czy ona biedaczka może się tém żywić? Nie mogłaby tego strawić wcale, dla osób delikatnych i cierpiących trzeba pożywienia delikatnego a posilnego: mocnego rosołu ku, kurczątka, ostryg, lub choćby kawałek befsztyku, a po nim kieliszeczek dobrego wina. Takich to pokarmów potrzeba i dla mojéj biednéj pani, a że ich nie ma, niknie w oczach i nie długo umrze.

— Sally, odezwał się Wilfrid otwierając drzwi od saloniku, czy miss Lester już wyszła? Jeżeli jest jeszcze, i chce zaczekać chwilkę na mnie, to ją odprowadzę do miss Bordillion.

Marya położyła palec na ustach.

— Powiedz że mnie nia ma, szepnęła, nie chcę aby dla mnie pozostawił żonę samą.

— Miss Lester już odeszła.

— To chodź tu, Sally, pani cię potrzebuje.

Sally pobiegła do pokoju, a Marya wymknęła się cicho, i udała się śpiesznie—o ile na to wicher pozwalał—do miss Bordillon.

Nigdy jeszcze Marya nie doznała tak głębokiego i bolesnego wzruszenia. Chora.., umierająca z braku właściwego pożywienia!... Marya czytała opisy tak strasznego położenia w romansach, niekiedy nawet w dziennikach, ale zdawało jéj się rzeczą niepodobną do prawdy, niemożliwą, aby osoba równego z nią urodzenia i wychowania, aby żona jéj brata mogł, stać się ofiarą tak strasznego losu.

Z natłoku myśli przesuwających się przez jéj głowę dwa w końcu bolesne pozostały przekonania: najprzód o ciężkiéj odpowiedzialności jaką postępowaniem swojém ściągał na siebie ten którego zaledwie w myśli nazwać śmiała; powtóre, że pomimo najszczerszéj chęci nie będzie mogła zmienić tak strasznego stanu rzeczy.

Przybyła wkrótce do domu na skalistém wybrzeżu; był to ładny, biały kotaż, z zielonemi okiennicami. Miss Bordillion i teraz jeszcze była piękną kobietą, z wyrazem twarzy łagodnym i spokojnym. Jedynie włosy posiwiałe przed czasem, mogłyby zaświadczyć o zawiedzionych nadziejach jéj serca.

Miss Bordillion zadziwiła się spostrzegłszy Maryę postawiła na stoliku herbatę, którą piła właśnie, i zwróciła na swą wychowankę pytające spojrzenie. Marya zdjęła okrycie i kapelusz, a następnie usiadła przy niéj. Po chwili służąca przyniosła filiżankę i trochę masła które postawiła przed Maryą.

„Cóż się to stało, Małgorzato, że dziś przy herbacie nie jadłaś bułeczki z masłem?

— Nic, teraz często jadam grzaneczki.

Marya przypomniała sobie że miss Bordillion nie lubiła nigdy grzaneczek, gdy przeciwnie bez chleba i bułeczki z masłem trudno jéj było się obyć. Następnie to także zwróciło jéj uwagę, że Małgorzata wstała, wyjęła z kredensu cukierniczkę i postawiła ją na stole. Nagła myśl zrodziła się jéj w głowie.

„Małgorzato! zawołała przerażona, czy i tu jak u Wilfrida głód zakradł się także?

Trzeba było wyznać prawdę, bo Marya nalegała tak usilnie. Głodu jeszcze nie było, ale najściślejsza oszczędność, wyrzeczenie się wszystkiego co nie było koniecznie potrzebném. Już od roku, kiedy Marya i Edyta oddaliły się od niéj, miss Bordillion utrzymywała się z własnego tylko dochodu, wynoszącego zaledwie sto funtów rocznie, który dla niéj byłby może wystarczającym, ale na nieszczęście musiała dopomagać Wilfridowi i Edycie.

„Więc ty ich wspomagasz, Małgorzato! zawołała Marya.

— O ile to jest w mojéj mocy. Cóż czynić, skoro ich wszyscy opuścili.

— Jakże ja mogłam nie domyślić się tego? rzekła Marya. Wprawdzie Wilfrid, przed chwilą, wspomniał mi coś o tém, ale sądziłam że nie zrozumiałam go dobrze. Ty sama masz tak szczupłe dochody!

— Jakżeby inaczéj żyć mogli? moje drogie dziecię. Nie można długo utrzymywać się choćby najbiedniéj, bez gotowego grosza. Przez kilka miesięcy po ich ślubie nie bywałam u nich wcale, nie chcąc aby mogli sądzić że pochwalam ich nieroztropny postępek. Przez ten czas wydali tę trochę pieniędzy która im pozostała po zakupieniu niezbędnych rzeczy, sprzedali klejnociki familijne—małéj, niestety wartości!—następnie kosztowniejsze suknie i niektóre mebelki, a w końcu zaczęli brać na kredyt. Ale wkrótce i ten kredyt wyczerpał się, Maryo... Pewnego dnia spotkałam Edytę; było to na trzy miesiące przed urodzeniem jéj dziecięcia, wydała mi się tak zmienioną i osłabioną, że podałam jéj rękę i odprowadziłam do szaletu; wtenczas to Sally przedstawiła mi prawdziwy stan rzeczy. Nieoceniona to kobieta.

— Kto taki?

— Sally.

— A! Małgorzato! Ona była zawsze tak nieznośna i opryskliwa! zawołała Marya, przypominając sobie jak Sally była nie raz dokuczliwą dla niéj i dla Edyty, kiedy jeszcze jako dzieci pozostawały pod jéj opieką,

— Szlachetna dusza pod szorstką powłoką, jak się to często zdarza. Złote to serce, Maryo. Miała trochę zaoszczędzonych pieniędzy, nie wiele wprawdzie, bo utrzymywała matkę i siostrę kalekę—wydała je co do grosza dla Edyty, po urodzeniu jéj dziecięcia

— Poczciwa kobieta! rzekła Marya, widzę że nie umiałam jéj ocenić... Przyznaj Małgorzato że wszyscy źle postępują względem Wilfrida,.. zdaje mi się że kupcy mogliby mu dawać na kredyt.

— Już i tak im winien...

— Zapewne bardzo mało! Bądź co bądź jest najstarszym synem, i prędzéj czy późniéj Danesheld-Hall musi przejść w jego ręce.

— Musi?

Małgorzata wymówiła ten wyraz z silnym naciskiem, który odbił się boleśnie w sercu Maryi.

— Wydziedziczenie Wilfrida byłoby straszną, krzyczącą niesprawiedliwością, Małgorzato. Jest najstarszym, a długo był jedynym synem! zresztą.. posag naszej matki stanowi połowę majątku. O! jestem pewna że ojciec nie zechce tak skrzywdzić Wilfrida.

— Kupcy, jak widać, nie podzielają twego przekonania, odpowiedziała z westchnieniem miss Bordillion.

— Dla czego dotąd nigdy nie wspomniałaś mi o tém, Małgorzato?

— Powstrzymuję się zawsze od wszelkich uwag nad postępowaniem lady Adelajdy.

— Sądzisz że ona temu winna?

— Jestem tego pewną. Ona to wprowadziła pana Lester w takie kłopoty pieniężne, i ona także z pewnością podburza go przeciwko synowi. Przeczuwam to, że nie pozwoli nigdy panu Lester przyjść w pomoc Wilfridowi, a nawet przekazać mu pieniędzy po matce.

— Musiałaby być pozbawioną wszelkiego poczucia sumienności! Że jest często niesprawiedliwą, to wiem z przekonania, ale aż do tego stopnia?... Więc ona nie ma sumienia, Małgorzato!

— Sumienie bywa niekiedy bardzo elastyczne, moje dziecię, odpowiedziała miss Bordillion. Ale nie mówmy już o lady Adelajdzie, i tak zbyt wiele powiedziałam. Wszyscy w Danesheld wiedzą dobrze jak rzeczy stoją, i trudno wymagać aby rzeźnicy i piekarze narażali się na stratę, przez miłość dla Wilfrida.

— A ty, droga Małgorzato odmawiasz sobie cukru i masła aby przyjść w pomoc Wilfridowi i Edycie.

Małgorzata wyrzekła się w tym celu wielu jeszcze rzeczy, ale nie wspominając nic o tém, odpowiedziała obojętnie:

„Jest to tak małe poświęcenie że nie warto o niém mówić. Proszę cię, Maryo, nie wspominaj o tém nikomu.

— Dla czego chcesz się z tém taić? Czy boisz się aby to nie rozgniewało mego ojca?

— Tak nie chciałabym go obrazić lub rozgniewać i to dla bardzo ważnych powodów. Nie płacę nic panu Lester za ten kotaż; kiedy po twojém oddaleniu się ztąd zapytałam się ile mam płacić mu dzierżawy, roześmiał mi się w oczy. Mieszkam więc darmo i tym sposobem mogę dopomagać twemu bratu i Edycie; lecz tego jestem pewną, że gdyby dowiedziano się w Hall że czy to ja czy ktokolwiek inny dopomaga Wilfridowi, dałoby to powód do większéj jeszcze zawziętości przeciwko niemu.

— Cóż się z nim w końcu stanie, Małgorzato?

— Któż to może wiedzieć?... Strach mnie przejmuje kiedy myślę o tém. Nie ma nikogo takiego coby chciał podać rękę Wilfridowi i wydźwignąć go z tak strasznego położenia w jakiém zostaje obecnie. Mówiono o jakiéjś rządowéj posadzie, ale jakimże

sposobem mógłby ją otrzymać, kiedy ojciec nie chce się o nią postarać dla niego? A! gdyby to lord Dane był jego przyjacielem.

— Co to będzie daléj, kiedy teraz już jeść co nie mają?

— Z wyjątkiem tego co ja udzielić im mogę. Widzisz więc Maryo że mając sto funtów rocznie na utrzymanie tak świetne dwóch domów, mówiła daléj Małgorzata zmuszając się do wesołości, muszę uważać masło i cukier za przedmioty, do których tylko nader ostrożnie zbliżać się powinnam... To najgorsza, dodała poważnie i smutno, że Wilfrid uważa za barbarzyńską niesprawiedliwość, postępowanie względem niego, nie tylko ojca, ale wszystkich w Danesheld, że serce jego przesiąka goryczą... a dalsze tego skutki mogą być okropne.

Te słowa przypomniały Maryi cel jéj odwiedzin.

— Chciałam ci się właśnie zapytać, Małgorzato... czy doszły do ciebie wieści krążące o Wilfridzie?.. że on... że widziano go w nocy w lesie lorda Dane?

— Cicho! przerwała miss Bordillion, rzucając w koło przestraszonym wzrokiem.

— A więc i ty słyszałaś o tém! Powiedz czy wierzysz temu?

— Nie wiele w ogóle daję wiary wszelkim pogłoskom, i sądzę że najlepiéj i na te także nie zwracać uwagi.

— Małgorzato, pomimo téj strasznéj burzy przyszłam tu aby dowiedziéć się prawdy. Ta straszna niepewność nie dozwoliłaby mi zasnąć. Czy masz jakie pewne wiadomości?

— Nie, odpowiedziała krótko miss Bordillion.

— Idąc tu spotkałam go ze strzelbą. Do czego mogła mu być potrzebną o téj porze? Powiedział mi że mu jéj pożyczono. Czy to prawda?

— Zkądże ja to mogę wiedziéć? Ale tak jest zapéwne.

— Powiedział mi że ty dałaś mu pieniędzy na opłatę pozwolenia na polowanie.

— Mówił prawdę.

— Zdaje mi się że umarłabym gdyby Wilfrid dopuścił się jakiegoś występnego czynu, rzekła Marya ze łzami w oczach.

— Edyta także nie przeżyłaby tego.

— I nie chcesz mnie uwolnić od tak strasznéj niepewności, Małgorzato?

— Ja sama nie wiem nic pewnego. Równie jak ty słyszałam wieści krążące o Wilfridzie, ale nic nie wiem więcéj. Nie zdają mi się prawdziwe, nie wierzę im, ale obiedwie uczynimy najlepiéj jeżeli udamy że nie doszły wcale do naszéj wiadomości. Teraz Maryo musisz już wracać do Hall; wicher wzmaga się ciągle, może za kilka minut, nie mogłabyś postąpić ani kroku. Każę cię odprowadzić.

Miss Bordillion posłała natychmiast służącę po ogrodnika pana Lester, mieszkającego tuż przy kotażu. Widzieliśmy że pod jego opieką Marya przybyła szczęśliwie do domu, z kapeluszem w ręku z którego woalkę wiatr uniósł gdzieś daleko, i z trochę nastroszonemi włosami.

Rozdział XVIII.

Rozbicie okrętu.

Nawet najstarsi mieszkańcy Danesheldu nie pamiętali jeszcze takiéj burzy. Straszliwy wicher to kręcił się w powietrzu wyjąc złowrogo, to wciskając się do domów, wyrywał okiennice, przewracał kominy, zrywał dachy. Zaledwie można było utrzymać się na nogach.

Księżyc był w pełni, i błyszczał tak jasno, że gdyby nie ta przerażająca burza, byłoby widno jak w dzień, lecz chmury ścigające się z szaloną szybkością, zasłaniały prawie ciągle jego tarczę i pogrążały ziemię w ciemności, a jeżeli nawet ukazał się niekiedy, tumany kurzu zaćmiewały jego światło.

Kilku ludzi znajdowało się w *Gospodzie Marynarzy* Bezwątpienia nie zagrażało im tam żadne niebezpieczeństwo, a jednak dom zwrócony jednym bokiem do morza, wstrząsany wichrem, zdawał się trzeszczéć i chwiać w swych posadach. Ryszard Ravensbird spokojny i flegmatyczny jak zawsze, milcząc usługiwał swym gościom.

Ravensbird nie zestarzał się ani trochę przez te lat dziesięć. Powodziło mu się bardzo dobrze. Postępowaniu jego nic nie można było zarzucić; starał się o pozyskanie szacunku mieszkańców Danesheldu, i dopiął zamierzonego celu. Jeżeli dążył do tego aby zapomniano jakie ciążyły na nim kiedyś podejrzenia, to mógł być zupełnie zadowolniony, bo nawet na stacyi celnéj, gdzie schodzili się razem, znani ze swego gadulstwa, strażnicy nadbrzeżni, prędzéj posądzonoby o zabicie kapitana Dane kogobądź innego niżeli właściciela Gospody marynarskiéj.

Pani Ravensbird stała za kantorem. Zwykle przepędzała wieczór w pokoju za sklepem, ale że okna jego wychodziły na morze, dziś, ogłuszona szumem wichru, uciekła z niego i schroniła się do sklepu.

Pomimo że pani Ravensbird nosiła zawsze zgrabne i modne czepeczki, widać było zaraz na pierwszy rzut oka że zestarzała się bardzo. Jeżeli wszakże powierzchowność jéj uległa tak znacznéj zmianie, w gruncie była to zawsze taż sama kobieta, bystra, przytomna i wymowna

Miała jedno tylko dziecię, synka, któremu starała się dać jak najstaranniejsze wychowanie, i którego oddała do szkół.

Pani Ravensbird nie żałowała bynajmniéj że Opatrzność okazała się dla niéj tak skąpą pod tym względem. Kiedy raz synek jéj zachorował na odrę, sąsiadki zaczęły użalać się nad nią że ma jedno tylko dziecię. Spojrzała na nie z najgłębszém zadziwieniem. „Czy na prawdę sądzicie, zapytała, że byłaby to dla mnie wielka przyjemność gdybym musiała troszczyć się ciągle o dwoje dzieci, i dla dwojga dzieci zbierać pieniądze? O! nie, mam dość jednego.“

„Jakże się ma Cattley? zapytał jeden z gości nakładając fajkę.

Ravensbird do którego to pytanie było zwrócone nic nie odpowiedział. Podał właśnie komuś piwo i rachował pieniądze które odebrał za nie.

„Powiedzże panie gospodarzu, czy nie wiesz jak się ma Cattley? powtórzył pytanie Marls. właściciel rybackiéj łodzi.

— Cattley może się miéć lepiéj albo też gorzej, odpowiedział sucho i z niezadowolnieniem Ravensbird, jakby to był dla niego niemiły przedmiot rozmowy; nie mieszam się nigdy do rzeczy nie dotyczących mnie wcale.

— Zupełnie jak ja. odpowiedział wesoło Marls; ale przyznaj panie gospodarzu że to nie jest znów dowodem zbytniéj ciekawości. jeżeli ktoś rozpytuje się o stan zdrowia człowieka na pół zamordowanego. Kiedy trzy dni temu wypłynęłem na morze, mówiono że jest prawie umierający:

— Nie mało mieliście trudności z doprowadzeniem waszéj łodzi do przystani, przerwał jeden ze strażników. Byłem właśnie na służbie dziś po południu; zdawało mi się że nie dopłyniecie do brzegu.

— Oj! to prawda zawołał Marls: nigdy jeszcze w życiu nie znajdowałem się w tak niebezpieczném położeniu. Wiatr, a jaki jeszcze wiatr! pcha nas prosto na wybrzeże. Nie wiem doprawdy jak nam się to udało że wpłynęliśmy do przystani zamiast rozbić się o skały... Czy kto nie ma jakich wiadomości o Cattleyu?

— Cattley już zdrowszy, odezwał się jeden z gości. Policya wmieszała się w tę sprawę. Bardzo zmęczyli Cattley'a swemi zapytaniami, i chcieli aby zaprzysiągł że poznał Beechera i Toma Song, ale nie chciał tego uczynić, pomimo że w gruncie jest przekonany iż i oni znajdowali się tam wraz z innymi Stary Beecher nie lękał się zeznać pod przysięgą że w czasie téj napaści syn jego był w domu, i spał najspokojniéj, nikt jednak nie wierzył w prawdziwość téj przysięgi, ale że nie było przeciwnych dowodów musieli poprzestać na tém. Milord nie posiada się z gniewu, i mówi że stanie się teraz równie surowym jak dotąd był łagodnym. Powiedział w oczy Beecher'owi że do jego przysięgi nie przywiązuje żadnéj wagi, i żałował że nie można było zebrać dostatecznych dowodów.

— Czy nie schwytano nikogo? zapytał drugi rybak; słyszałem że tam był jeszcze ktoś więcéj?

— Tak mówią. Cattley powiada że ktoś stał, jeszcze... zapewne na czatach.

— Musiał to być Drake, zawołał Marls. O nim można być pewnym że jeżeli nie przemyca towarów to kradnie zwierzynę... Założyłbym się o gwineę że to był Drake.

— Przegrałbyś zakład, to ten trzeci był wysoki i bardzo chudy, a Drake jest nizki i krępy. Panie gospodarzu, żona cię woła.

Rzeczywiście pani Ravensbird wołała pełnym przerażenia głosem: Ryszardzie! Ryszardzie!

Ravensbird pobiegł do pokoju za sklepem, i zastał tam Zofię stojącą na środku ze świecą w ręku.

„Ryszardzie, byłam na pierwszém piętrze: ale nie miałam odwagi tam pozostać. Cały dom trzeszczy jakby się miał przewrócić.

— Nie trzeba obawiać się tego, jest dobrze zbudowany, odpowiedział Ravensbird. Potrafił się oprzéć już nie jednéj takiéj burzy.

— Nie pamiętam jeszcze tak strasznego wichru. posłuchaj tylko jaki szum przeraźliwy.

Zofia drżała ze strachu, Ryszard choć często marudny: był jednak bardzo dobrym mężem; posadził ją też na krześle i starał się uspokoić. Wkrótce po tém weszła służąca.

„Oni tam chcą jeszcze piwa. czy pan każe podać? Już tylko parę minut do jedenastéj.

— A! zlituj się Ryszardzie, pozwól im dziś pozostać dopóki zechcą, zawołała Zofia. Kiedy grozi niebezpieczeństwo, lepiéj być w towarzystwie jak samemu, a co do mnie nie miałabym odwagi położyć się spać.

— Nie miałabyś odwagi spać? powtórzył zadziwiony Ravensbird. Co ci się dzieje Zofio? Wiesz przecie że przy szumie wiatru sen bywa najtwardszy

— Tak, ale nie przy wyciu wichru. a odkąd tu mieszkam nigdy jeszcze nie było tak straszliwego wichru, odpowiedziała Zofia, któréj nie tak łatwo było przekonać. Co do mnie, chciałabym aby pozostali aż do rana:

Ravensbird wrócił do kantoru i uwiadomił że jedenasta już wybiła. Nikt jednak nie ruszył się z miejsca; i czy to przez litość dla swych gości, których zresztą trudno było narażać na taką burzę, czy przez wzgląd na żonę, Ravensbird odstąpił na ten raz od ściśle przestrzeganego zwyczaju, i pozwolił aby podano jeszcze piwa.

W téj właśnie chwili wszedł strażnik Michał Zdjął płaszcz i usiadł.

„Cóż to panie Michale, czy cię tu wiatr przypędził? odezwał się Ravensbird. Zdawało mi się że dziś wieczorem jesteś na straży.

— Dziś nad brzegiem morza nikt nie zdołałby utrzymać się na nogach, panie Ravensbird, masz więc słuszność że poniekąd wiatr mnie tu przypędził! Dojrzałem światło przez szpary w okiennicach i wszedłem. Straszną noc mamy.

— Nie ma się co obawiać aby dziś jaka łodź przemytnicza dostała się do brzegu, wszak prawda? odezwał się ze śmiechem jeden z obecnych.

— Nawet *Okręt-widmo* nie dokazałby tego. To też inspektor pewny że mu nic nie grozi z téj strony, a obawiający się aby wicher nie postrącał nas w morze, pozwolił nam opuścić nasze stanowiska. Na morzu szaleje burza... Obawiam się bardzo...

— Czego?

— Widziałem na morzu okręt. Jak wiecie, mało kto ma równie bystry wzrok jak ja, zwłaszcza jeżeli trzeba dojrzéć jakiś odległy przedmiot. Jestem pewny że widziałem okręt, dostrzegłem nawet światła na pokładzie, pokazywałem je nawet Baker'owi, a choć on powiada że mi tylko się zdawało że coś widzę, jestem pewny że mam słuszność.

— I był to okręt w niebezpieczeństwie?

— W czasie podobnéj burzy każdemu okrętowi grozi straszne niebezpieczeństwo. A na nieszczęście wiatr pcha go gwałtem na wybrzeże. Wierzcie mi, jeżeli rzeczywiście widziałem okręt, to dzisiejszéj nocy rozbije się o skały. Mogę..

Michał zatrzymał się nagle, a jednocześnie wszyscy zerwali się z ławek. Usłyszano huk głośny i przeciągły.

Pani Ravenbird wbiegła do sali.

— To strzał armatni! zawołała z przerażeniem.

Jeżeli tak było rzeczywiście, to strzały następowały po sobie z niezwykłą szybkością; nigdy jeszcze nie strzelano w ten sposób.

„Pierwszy raz słyszymy coś podobnego, mówili niektórzy.

— Tak, to z pewnością huk armat, zapewniali inni.

— Nie, to wielki dzwon zamkowy, rzekł Michał; o! możecie być pewni że się nie mylę, słyszałem go kiedy jeszcze za życia starego lorda ogień wybuchnął w stajniach pałacowych. Co się tam stało?

Wszyscy wybiegli na drogę i patrzyli na zamek. Zofia i służąca, obie drżące ze strachu, podążyły za nimi. Wszyscy mówili razem, krzycząc z całéj siły aby ich usłyszano pomimo huku burzy.

„Uciszcie się, proszę na chwilę, zawołał Ravensbird głosem stentora. A teraz słuchajcie, i starajcie się coś usłyszéć, jeżeli wiatr i odgłos dzwonu pozwoli na to.

Wszyscy umilkli i zaczęli się przysłuchiwać. Teraz dopiero mogli rozpoznać naturę łoskotu który wśród murów i gwaru rozmowy dochodził ich niedokładnie. Od morza dochodziły strzały armatnie i powtarzające się co minuta.

„Wiedziałem dobrze, zawołał Michał że jakiś okręt znajduje się w niebezpieczeństwie. Wzywa pomocy, a dzwon pałacowy uwiadamia nas o tém, według odwiecznego zwyczaju.

W téj chwili dostrzeżono służącego lorda Dane, idącego śpiesznie drogą. Poznali go zaraz po czerwonéj z białém liberyi. Pośpieszyli ku niemu boczną drożyną i otoczyli dokoła.

„Nie zatrzymujcie mnie, zawołał, szukam lorda Dane. Jest tam na morzu okręt w niebezpieczeństwie, należący o ile można było dojrzéć do Kompanii Indyjskiéj, i zapewne napełniony pasażerami wracającymi do Anglii.

— Mówiłem to właśnie przed chwilą, odezwał się Michał. Jakim sposobem dowiedzieliście się o tém.

— Niektórzy z nas usłyszeli sygnały; wtenczas pośpieszyliśmy do pokoiku na wieży, i przy błysku strzałów dostrzegliśmy wyraźnie statek. Pan Bruff kazał zaraz zadzwonić w dzwon alarmowy, a mnie posłał do pana Lester. abym uwiadomił o tém milorda.

W kilka miunt po tém, wszyscy mieszkańcy Danesheldu zdolni oprzéć się sile wichru znajdowali się nad morzem. Okręt pchany wichrem, zbliżał się ciągle do skał, strzelając z dział.

Był już tak blizko, że ile razy księżyc wydobył się z za chmury, można go było widzieć wyraźnie. Stary marynarz obdarzony bystrzejszym jeszcze wzrokiem niż Michał, utrzymuje że rozpoznaje jego budowę, i poznaje w nim okręt amerykański. W każdym razie nie podpadało już wątpliwości że był to okręt przeznaczony na zgubę.

Znajdował się obecnie trochę na lewo od widzów, i prawdopodobnie miał rozbić się o skały za Danesheldem, naprost pałacu. Burza dosięgła już najwyższego stopnia swego rozwoju, wiatr wył i świszczał straszliwie, fale piętrzyły się jak góry ryczące przeraźliwie. Nieszczęśliwy statek trzeszczał cały.

A! cóż się tam działo na pokładzie, kiedy stojący nad morzem drżeli z przerażenia choć im żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Zdawało im się że słyszą krzyki rozpaczy nieszczęśliwych, wiozących przed sobą śmierć pewną, nieuchronną.

Dla wszystkich wydzwoniła już ostatnia życia godzina, dla wszystkich otwierały się bramy wieczności... a nie wszyscy byli przygotowani do przekroczenia jéj progu!

Lord Dane i pan Lester przybyli razem nad morze, rozstąpiono się aby mogli przystąpić bliżéj.

„Mój Boże! wicher pędzi go ku brzegom, zawołał lord Dane z przerażeniem.

— Za pół godziny, milordzie, wpędzi go na skały, odezwał się ktoś z tłumu.

— Powiedzcie mi, rzekł pan Lester zwracając się do marynarzy i rybaków stojących o kilka kroków daléj, czy nie można pośpieszyć im na ratunek?

— Nie, odpowiedzieli jednozgodnie.

— Gdyby znajdował się między nimi doskonały pływak, i ten poświęcając się dla innych rzucił się wpław obwiązawszy się w pasie jednym końcem liny, i tak dopłynął aż do brzegu, byłby to jedyny sposób ratunku, powiedział jakiś stary marynarz. Choć co prawda, dodał, i to zapewne nie na wieleby się zdało; fale uniosłyby go w przeciwną stronę i zatopiły.

— Wszakże mamy łódź ratunkową! zawołał lord Dane.

— Najlepsza łódź nie utrzyma się na morzu podczas takiéj burzy, odpowiedziano z wyrazem zniechęcenia.

Może nawet żaden z obecnych tam marynarzy nie był dotąd jeszcze świadkiem tak okropnéj sceny, nie widział tak przedłużonego konania. Trzy razy zabłysnął na okręcie niebieskawy ogień, oświecający go tak jasno że można było widzieć wyraźnie nieszczęśliwych znajdujących się na pokładzie, jak wyciągali błagalnie ręce ku stojącym nad brzegiem, którzy niestety! nie mogli ich uratować.

Wicher gnał okręt ciągle ku skałom... śmierć i zniszczenie coraz były bliższe! Dziwna rzecz, teraz kiedy śmierć była już nieuniknioną, krzyki rozpaczy umilkły na pokładzie.

Nagle spód okrętu uderzył o skały, morze w jednéj chwili zalało pokład, wtenczas usłyszano przeraźające krzyki wpośród fal rozszalałych, po tém o[d] głos rozpaczliwéj z niemi walki i przytłumione jęki.

„Roztrzaskał się!... roztrzaskał w kawałki! wo[ł]ano na brzegu. Nic już na świecie nie zdoła ich uratować! mój Boże! mój Boże!

Kobiety padły na kolana i modliły się głośno.

W téj chwili nadbiegł jakiś człowiek, i przepychając się przez tłum stanął nad brzegiem przysta[n]i. Był to Wilfrid. Miał na sobie jeszcze toż samo myśliwskie ubranie w którém spotkała go Marya. Wsparty łokciem o balustradę patrzył przez parę minut na rozbity okręt.

— Miłosierny Boże! szepnął, rozbił się już o skały.

— Tak, pięć minut temu.

— Cóż się tam ukazuje na wodzie? zapytał po chwili.

— Nieszczęśliwi tonący. Fale zmiotły ich z pokładu.

— Jakto, tonący! zawołał z oburzeniem, a wy nie śpieszycie im na ratunek? Czy straciliście rozum lub też jesteście tchórzami?

Ktoś ze stojących obok wskazał na rozszalałe morze.

— Tam pan znajdziesz odpowiedź.

— Nie poprzestanę na niéj, rzekł Wilfrid. Gdzie jest łódź ratunkowa?

Mówiąc to odwrócił się do otaczających. Pan Lester który już dawno nie widział syna, cofnął się żywo i ukrył w tłumie, jakby nie chciał się z nim spotkać. Lord Dane przeciwnie zbliżał się i rzekł kładąc rękę na jego ramieniu.

— Jesteś rozdrażniony panie Lester, przyznaję że ten widok mógłby wzruszyć serce najzimniejszego nawet człowieka, ale na nieszczęście nic dla tych nieszczęśliwych uczynić nie można. Łódź nie zdoła nigdy zbliżyć się do okrętu.

— Można przynajmniéj spróbować, odpowiedział Wilfrid niecierpliwie. Tak, trzeba sprobować, powtarzam.

— I poświęcić życie tych którzyby się na tę próbę odważyli, wszak prawda? powiedział lord Dane.

Wifrid nic mu na to nie odpowiedział i zwrócił się do stojących tuż prawie rybaków. Znał ich wszystkich dobrze, bo wzrastał między nimi.

— Billu Gand, gdzie jest łódź ratunkowa? zapytał starego i doświadczonego marynarza, mogącego miéć przeszło sześćdziesiąt lat, jak o tém świadczyły zmarszczki na jego twarzy.

Bill Gand nie był nigdy bardzo rozumnym, wskazał więc tylko palcem na przystań i dodał:

— Przygotowałem wszystko jak tylko odezwał się dzwon na zamku, panie Wilfridzie.

— Więc czemuż nie pośpieszyłeś na ratunek? zazytał Wilfrid z oburzeniem.

— Nie mogłem się na to odważyć. A teraz morze więcéj się jeszcze sroży jak wtenczas.

— Nie mogłeś się odważyć! rzekł pogardliwie Wilfrid, którego gniew zdawał się wzmagać na równi z burzą. Nie wiedziałem dotąd że między angielskimi marynarzami znajdują się tchórze. Ja wsiadam do łodzi ratunkowéj; jeżeli między wami znajdują się zdolni przezwyciężyć swoją obawę, niech idą za mną.. jeżeli nie — pójdę sam.

(d. c. n.)

Opis do N. 3.

N. 1 i 26. Ubranie wieczorowe.

Suknia princesse z czarnego atłasu ma u dołu 16 cent. szeroką falbanę układaną w kontrafałdy; przód zdobi drapérya z gazy jedwabnej, przerabianej złotem, fałdowana poprzecznie, z boków podsunięta pod bryty tylne u góry kończąca się garnirunkiem 31 cent. długim, ułożonym z koronki 6 cent. szerokiej i z plisek atłasowych 2 cent. szerokich. Rękawy są zszyte ze wstążki 5 cent. szerokiej i z plis atłasowych 3 cent. szerokich. Wykrój stanika zdobi koronka i biała crêpe-lisse; koronka i wszywka wywodzone są nitką złotą. Rycina 26 przedstawia to samo ubranie z przodu. Kokardy z wstążki atłasowej 8 cent. szerokiej.

N. 2. Ubranie balowe.

Suknia princesse z blado niebieskiej faille zdobna takimże tarlatanem przerabianym nitką srebrną. Przód sukni naszyty jest plisowanemi falbankami tarlatanowemi, tworzącemi plastron rozszerzający się do dołu nakształt fartuszka; bryty boczne przysłonięte naprzemian riuszami, plisowaniem i bufami przepinanemi puklami z atłasu. Plecy na długość stanika z baskiną zagarnirowane plisowaniem z pod którego u dołu wysuwa się prosty bryt tarlatanu zebrany na trenie pod bukietem z kwiatów przeplatanych złotym sznurem. Takiż bukiet z lewego boku, na ramieniu i z przodu. U dołu sukni falbana układana w kontrafałdy 10 cent. szeroka, powyżej bufa przepinana puklami i riuszą.

N. 5. Przykrycie z bibułki angielskiej na lampę.

Potrzeba wyciąć z kolorowej bibułki kwadrat 50 cent. długi (większy lub mniejszy odpowiednio do lampy) złożyć go we dwoje potem znów w kwadrat, zaokrąglić u dołu rogi a u góry wyciąć otwór odpowiednio do szkła. Następnie kładzie się bibułkę na stole i załamuje w drobniutkie nierówne fałdki od góry do dołu, starając się aby fałdki były jak najdrobniejsze, dolny brzeg nacina w śpiczaste ząbki poczem rozkłada bibułkę, rozsuwa fałdki i znowu powtórnie załamuje w innych miejscach. W ten sposób fałdowana bibułka straci sztywność i naśladować będzie chińską materyę.

N. 6 — 7. Czepeczek dla starszej osoby.

Może być odrobiony z iluzyi i blondyny lub z tiulu do prania i koronki; podstawę stanowi kawałek sztywnego tiulu, ścięty w ząb do przodu, 50 cent. długi, 9 w środku 5 w końcach szeroki. Denko zakładane w równe fałdki 35 cent. szerokie, 28 długie, przysłonięte jest od góry trójkątem bufowanym, ozdobionym koronką i kokardą. Rycina 6 i 7 wskazuje upięcie przybrania.

N. 8. Wycieraczka do piór.

Górna podstawa dana z grubej tektury pokrytej suknem ponsowem, wyszytem kolorowym jedwabiem. U dołu dana falbanka ponsowa układana w kontrafałdki a w środku fałdowane czarne sukno do obcierania piór.

N. 9. Koszyczek z pasków tektury.

Przedstawiony na ryc. 9 koszyczek, pleciony jest z wąziutkich pasków cienkiej tekturki, żółtawego koloru słomy; do denka owalnego 5 cent. szerokiego przyszywa się w koło pasek tektury 8 cent. długi, który stanowi ścianki koszyczka i jest wzdłuż rozdzielony na piętnaście części podwójnemi nitkami grubego kordonku. Paski tekturowe przewłóczą się przez jedne nitki z wierzchu, przez drugie od spodu. Przykrycie plecione jest bardzo ściśle i przeszyte krytemi ściegami jak to widać na rycinie 9. Koszyczek taki służy jako zabawka i zajęcie dla małych dzieci.

N. 10—11. Patarafka wyszyta na suknie.

Środek patarafki mający 11 cent. średnicy wycięty z popielatego sukna otoczony jest szlakiem z niebieskiego sukna, z obu brzegów zakończonym ząbkami i ozdobionym wyszyciem z włóczki czarnej, przytrzymanej złotemi ściegami. Gwiazdki w kratkach dane fílozelą różową jedne listki z trzech ściegów są piaskowe a drugie zielone. Kwaściki z niebieskiej rozczesywanej włóczki. Rycina 10 załącza w naturalnej wielkości część wyszycia.

N. 10. Malowanie na drzewie odpowiednie jako szlak do patarafki.

N. 13. Półeczki do książek.

Półeczki ozdobnie rzeźbione z drzewa, 170 cent. wysokie a 160 szerokie u dołu pokryte są ponsowem suknem a z brzegów mają dodane wąziutkie lambrekiny przybite złotemi gwoździkami.

N. 20—23. Dwie woalki.

Z czarnego jedwabnego tiulu, liczą po 34 cent. szerokości a 100—150 długości; jedną zakończa 3 cent. szeroki obrąb a nad nim szlak wywodzony podług ryc. 20.



N. 1. Ubranie strojne. Patrz ryc. 26. N. 2. Ubranie balowe.

Druga woalka z tiulu w muszki ozdobiona szlakiem w zęby wyszytym podług ryc. 21. Do wywodzenia można użyć nitki złotej.

N. 24. Chusteczka z riuszą koronkową.

Formę chusteczki wycina się ze sztywnego tiulu, brzegi oszyte są ząbkami haftowanemi na batyście i szeroką koronką; podłużny wykrój chusteczki zagarnirowany tiulem marszczonym w bufki przepinane wąziutką wstążeczką; brzegiem wykroju dana suta podwójna riusza z koronki, ozdobiona pukielkami z wstążki.

N. 25. Chusteczka z riuszą ze wstążki.

Odrobiona z czarnego tiulu i koronki 6 i 4 cent. szerokiej wywodzonej nitką złotą i z wstążki atłasowej $3\frac{1}{2}$ i 2 cent. szerokiej.

N. 27—28 i 39. Krótki kostium z bufowaną tuniką.

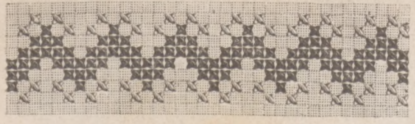
Rycina 27 i 28 przedstawia z przodu i z tyłu kostium z ciemnego wełnianego repsu i aksamitu tego samego koloru, odrobiony podług ostatniej mody ze stanikiem kaftanikowym z kamizelką, krótką spódnicą zakończoną plisowaniem 70 cent. szerokiem i oryginalną krótką tuniką, której krój załącza rycina 39; składa się z prostych poprzecznie wziętych brytów. Bryt przedni (I fałduje się w górnym brzegu podług znaków i wszywa w pasek dość szeroko, gdyż bryt tylny zajmuje tylko 15 cent. po sfałdowaniu. W odstępie 25 cent. od dolnego brzegu (który przyczepia się niewidocznie do sukni, po założeniu podług linii kropkowanej) bryt przedni sfałdowany jest z boków do 40 cent. długości. Bryt tylny (II z każdego boku przecięty jest poprzecznie do środka na 35 cent., część powyżej przecięcia jest podług krzyżyków i kropek od a) do c) sfałdowana i wszyta w pasek c) dochodzi do środka paska a brzeg pozostały w każdej połowie bryta od c)—d) wypuszczony jest w pukiel. Brzeg przecięcia od a)—b) jest przez sfałdowanie górnej części zwrócony ku górze i przyszywa się gładko do sfałdowanego brzegu przedniego bryta; część dolna tylnego bryta jest wzdłuż brzegu i przecięcia od e) do b) założona w fałdy, które przyczepiają się pod szwem łączącym bryt przedni z tylnym składając gwiazdkę do gwiazdki. W środku tylnego bryta u dołu dany rozporek 25 cent. długi, brzegi jego podwinięte są okrągławo pod spód i przyczepione. Kaftanikowy stanik ma baskinę przy środkowych częściach pleców krajaną w jednym ciągu i założoną w fałdę a przy przodach, boczkach i pierwszych częściach pleców odcinaną i przyszytą poprzecznie, jak to widać na ryc. 27 i 28. Przody szeroko zachodzące na siebie zapięte na dwa rzędy guzików, mają wykrój podłużny dopełniony szalowym kołnierzem; kamizelka zapinana jednym rzędem guziczków; rękawy mają gładkie wykłady.

N. 29. Suknia z suto ubraną spódnicą i stanikiem z kamizelką.

Stanowiąca strojne ubranie wizytowe wykończona jest z materyi jedwabnej i deseniowego aksamitu koloru bordeaux. Przedni bryt sukni zakończonej drobnem, 10 ct. szerokiem plisowaniem, jest środkiem kilka razy przemarszczony a z boków przepięty ranwersami aksamitnemi po 8 cent. szerokiemi; boczne gładkie bryty ozdobione są dwoma szerokiemi aksamitnemi plisami i plisowaniem. Tylne upięcie sukni dane z dwóch brytów zręcznie i lekko bufowanych i przypiętych aksamitnemi plisami. Rękawy są bufowane poprzecznie podług ryciny 29 a wzdłuż szwu środkowego ozdobione są plisą aksamitną 4 cent. szeroką.

N. 33. Kapelusz przybrany aksamitem.

Popielaty filcowy kapelusz przybrany jest trójkątny



N. 3. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 5. Przykrycie z angielskiej bibułki na lampę.

k a w a łkiem ciemno ponsowego aksamitu, liczącego z prostej strony po 50 cent. długości; trójkąt ten złożony w fałdy, z a r z u c o n y jest z wierzchu głćwki a z przodu spięty o z d o b n ą klamrą. Dwa krótkie popielate strusie pióra przerzucone są z prawego boku. Rondko od spodu podszyte bufowanym ponsowym atłasem; takież końce atłasowe do wiązania.

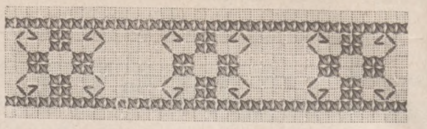
N. 34. Zarzutka z alzacką kokardą.

Strojna zarzutka z klarownej jedwabnej tkaniny, oszyta 10 cent. szeroką hiszpańską koronką, upięta jest z trójkątnego kawałka którego brzegi proste wraz z koronką liczą po 117 cent. na podstawie z paska sztywnego tiulu 3 cent. szerokiego a 35 długiego; drugi taki pasek przyszyty końcami do pierwszego podtrzymuje zarzutkę na środku głowy. Trójkąt zębem zwrócony do czoła, przytrzymany jest sutą alzacką kokardą z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej, koloru blado i bardzo ciemno ponsowego.



N. 6. Czepeczek dla starszej osoby. Patrz ryc. 7.

N. 35 — 37. Pudełeczko na marki do wista.



N. 4. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

N. 40. Suknia kaszmirowa z suto przybraną spódnicą i frakowym stanikiem.

Stanik od sukni z kaszmiru indyjskiego koloru śliwkowego, ma z przodu kamizelkę jedwabną i takież ranwersy przy frakowej baskinie zdo b n e j kokardami; szeroki szalowy kołnierz przecięty z tyłu i ubranie rękawów dodane r ó w n i e ż z materyi. Spódnica zakończona 64 cent. szerokiem plisowaniem, kilka razy przestębnowanem; p r z e z bryt przedni przerzucony rodzaj drap e r y i fałdowanej poprzecznie, przechodzącej pod bryt tylny, 60 cent. szeroki, złożony w kontrafałdę 18 cent. szeroką. W odstępie 70 cent. od góry kontrafałda zebrana jest wązko kokardą z wstążki 6 cent. szerokiej.



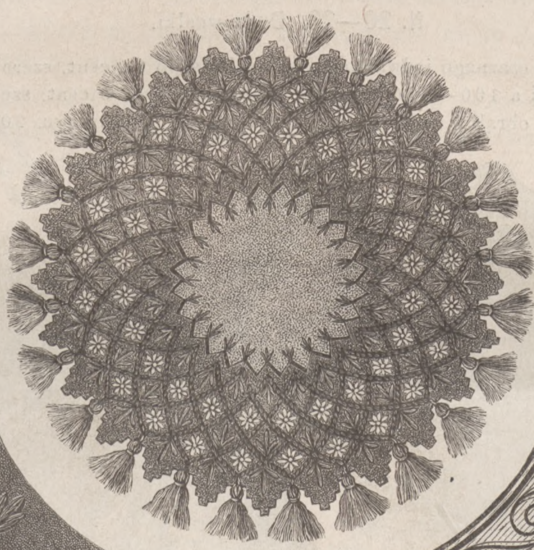
N. 7. Czepeczek dla starszej osoby patrz ryc. 6.

N. 41. Ubranie strojne wizytowe.

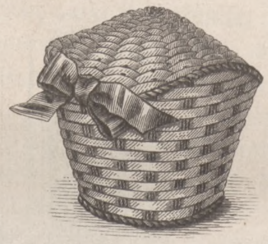
Stanik z szerokim szalowym kołnierzem, ma przody u dołu odłożone w ranwersy przez co kamizelka więcej jest widoczną. Przód sukni przybrany jest podług ryc. 41 plisowanemi falbankami, plisami w pasy morowe i szeroką torsadą szmuklerską. Upięcie na tylnym brycie, dane z dwoch prostych brytów po 180 cent. długich a 60 szero-



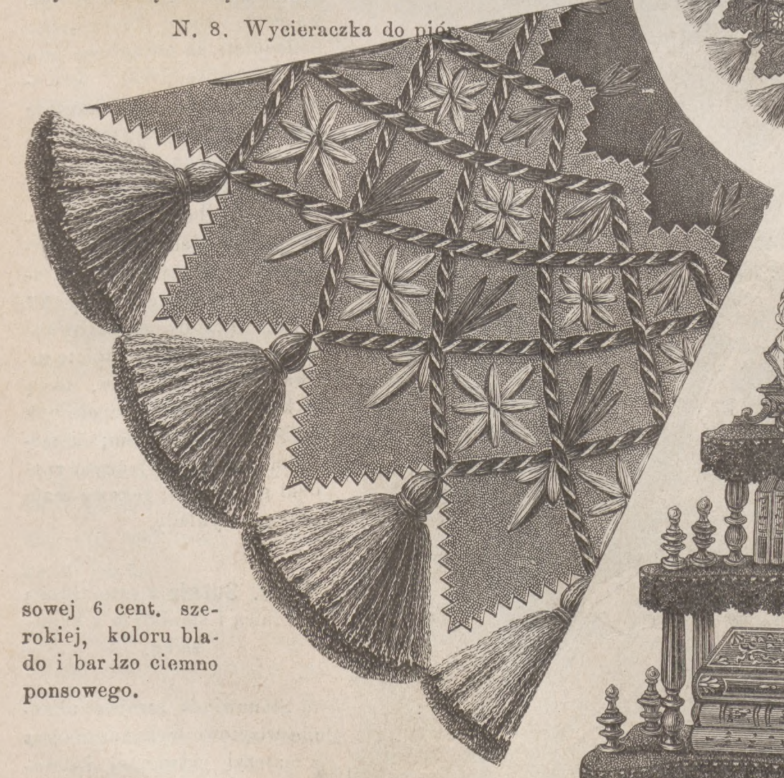
N. 8. Wycieraczka do piór.



N. 10 Patarafka ze szlakiem wyszytym na suknie. Patrz ryc. 11.



N. 9. Koszyczek pleciony z pasków tekturowych.



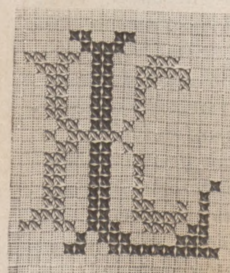
N. 11. Część szlaku do ryc. 10.



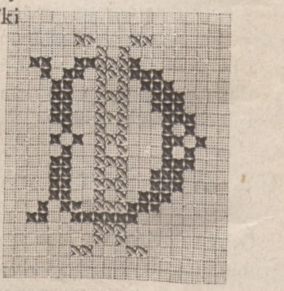
N. 12. Szlak malowany na drzewie do patarafki lub t. p.



N. 13. Półeczki ozdobne do książek.

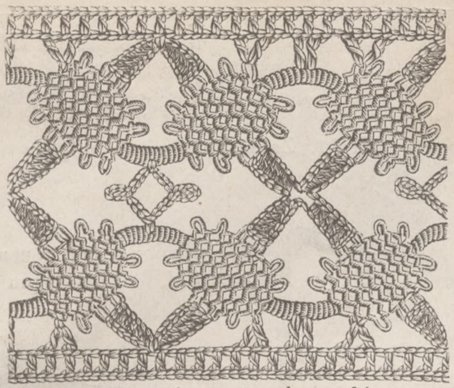


N. 14. Monogram do znaczenia bielizny.

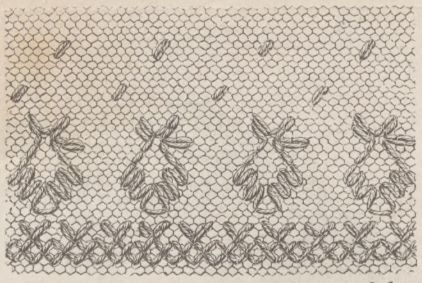


N. 15. Monogram do znaczenia bielizny.

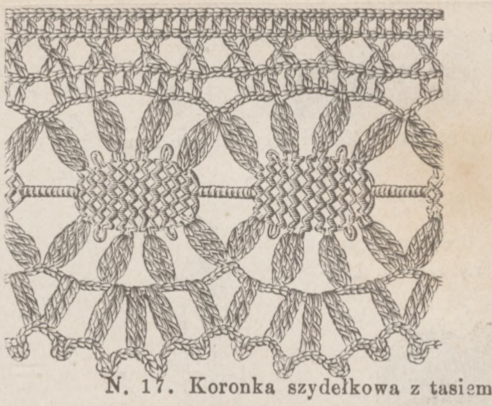
kich, u góry zebranych wpotrójną kontrafałdę, z boków zaś podpiętych w pukle i przyczepionych na sukni; zakończenie stanowi pliska 4 cent. szeroka i plisowana falbanka.



N. 16. Wszywka z medalionowej tasiemeczki.



N. 18. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 17. Koronka szydełkowa z tasiemką medalionową.

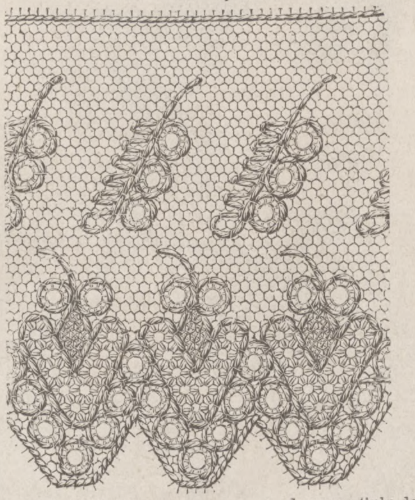
Opis do N. 4.

N. 1—2. Boa dla małych dziewczynek.

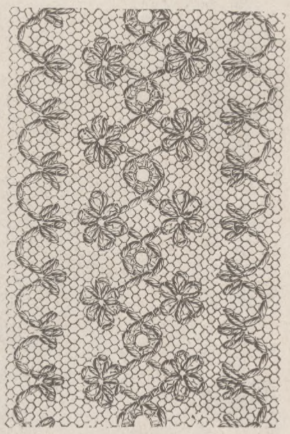
Rycina 1 przedstawia boa z puszku łabędziego związane kokardą z atłasowej wstążki. Na rycinie drugiej widzimy boa z



N. 19. Wszywka wywodzona na tiulu.



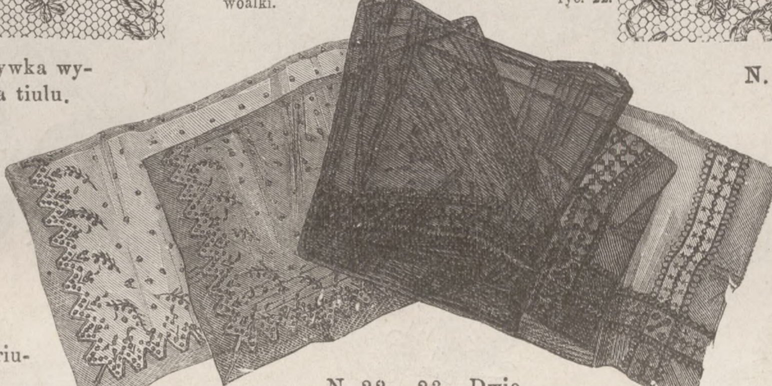
N. 21. Koronka wywodzona na tiulu do woalki. ryc. 22.



N. 20. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 24. Chusteczka z riuszą koronkową.



N. 22—23. Dwie woalki tiulowe. Patrz ryc. 20 — 21.



N. 25. Chusteczka z riuszą ze wstążki.

włóczki kolorowej lub białej, robione szydełkiem w wypukłe muszki, związane sznureczkiem jedwabnym, zakończonem kwaścikami.

N. 3 i 14. Koszyczek do kluczyków.

Podaliśmy wzór deseniu tak łatwy do odrobienia, że nawet panienki nie wprawne jeszcze w robotach ręcznych będą go mogły wykonać, chcąc ofiarować własnoręczną robótkę. Koszyczek wykleja się z tektury, powlóczy w środku kolorową materyą a zwierzchu kolorowym safjanem, czy skórką ozdobioną wyszyciem z kolorowego kordonku i nitki złotej.

N. 4 i 15. Kasetka na rękawiczki.

Wierzch i boczne ścianki kasetki są z grubej kanwy papierowej jasno bronzowego koloru, wyszytej luźnym ściegiem, z podkładaniem kanwy ciemniejszej. Rycina 15 załącza w naturalnej wielkości więcej niż czwartą część deseniu na wieczko linja kropkowana widoczna z brzegu odznacza część czwartą; paski podkładane z kanwy papierowej ciemniejszego koloru, odróżniają się na tym deseniu. Do wyszycia użyta czarna filozela i bronzowa sznelka; desenik na ścianki boczne bardzo łatwo ułożyć z pamięci. Dno kasetki wykrawa się z grubej tektury; po skończeniu wyszycia na kanwie podkleja się wszystkie części morowym lub glansowanym papierem, zszywa z sobą bronzowym jedwabiem i obejmuje wązką atłasową wstążeczką.

N. 10 — 11. Krawatka tiulowa z zakończeniem koronkowem.

Potrzeba na nią kawałka tiulu 125 cent. długiego a 14 szerokiego, który w równych odstępach przewleczony jest nitką złotą. Zakończenie krawatki stanowią liście koronkowe, odrobione z czarnej jedwabnej tasiemeczki, czarnego kordonku i nitki złotej, podług ryc. 11 przedstawiającej koronkę w naturalnej wielkości.

N. 12—13. Dwie krawatki.

Obie są z grubej lecz miękkiej jedwabnej materyi, przerabianej w deseń. Rycina 12 przedsta-



N. 26. Ubranie strojne wizytowe. Patrz ryc. 1.



N. 27—28. Kostium z krótką tuniką. Wskazanie kroju tuniki patrz ryc. 39.



N. 29. Suknia ze stanikiem, z kamizelką i spódnicą suto przybraną.

wia krawatkę 117 cent. długą a $10\frac{1}{2}$ szeroką, na której tle blado piaskowem rzucony deseń w guście egipskim złożony z arabesek i sznoków, ten sam deseń znacznie powiększony powtarza się na koń-



N. 30. Ząbki szydełkowe z mignardisą.

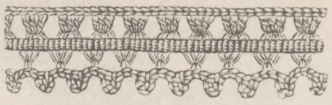


N. 32. Kapelusz filcowy, opis w N. 4.

cach; szlaczek na około brzegów 2 cent. szeroki jest koloru blado niebieskiego i bronzowego. Na rycinie 13 widzimy krawatkę jednakową na obie strony, 126 cent. długą a 13 szeroką, na której tle ciemno zielonym dana kratka szkocka w kolorze czarnym, szafirowym, ponsowym i żółtym.

N. 16—17. Sukienka dla dziewczynki lat 6—8.

Odrobiona formą princesse z ma-



N. 31. Ząbki szydełkowe z mignardisą.

teryału wełnianego piaskowego w drobne prążki, ma plecy złożone z czterech części, dopełnione u dołu fałdowaniem a przody ozdobione plastronem, zapiętym na kryte haftki, odznaczonym przez naszycie wąz-



N. 33. Kapelusz filcowy zdobny trójkątem aksamitnym.

kich plisek i tasiemeczek wełnianych tego co suknia koloru. Zamiast tasiemeczek można dać pliski wyszyte krzyżykami.

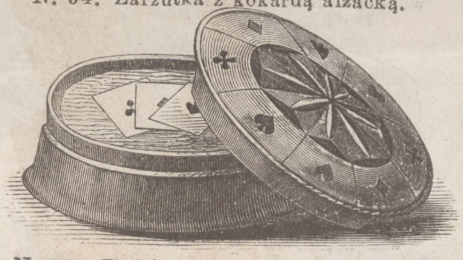
(d. c. n.)



N. 34. Zarzutka z kokardą alzacką.



N. 36. Marka do wista. Patrz r. 35.



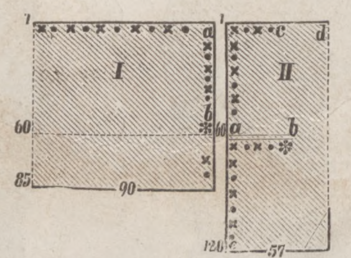
N. 35. Pudełeczko na marki do wista.



N. 37. Marka do wista. Patrz r. 35.



N. 38. Podstawa druciana do bukietu. Opis w N. 4.



N. 39. Wskazanie kroju tuniki do ryc. 27 i 28.



N. 40. Suknia kaszmirowa ze stanikiem z baskiną frakową i spódnicą suto ubieraną.



N. 41. Ubranie strojne wizytowe.



Pl. 381.

TYGODNIK MÓD.

W WARSZAWIE.